



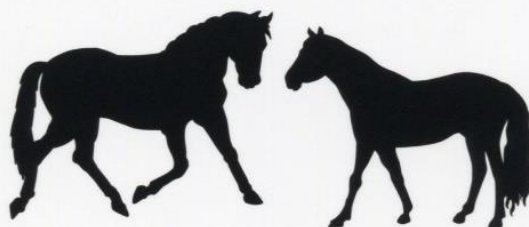
Andrzej Synowiecki



Moje Zdunowice



Andrzej Synowiecki



Moje Zdunowice

„Boże daj, Boże daj mi konia,
Niech mu mięśnie zagrają pode mną . ”

styczeń 2013



Wstęp

Trudno jest pisać wspomnienie o czymś, co wydarzyło się 30 lat temu i pewnie gdyby nie Marek Biziuk, ten tekst nigdy by nie powstał.

Marek przyszedł kilka lat temu do mnie i powiedział, że przygotowywana jest książka „Życie Studenckie na Politechnice Gdańskiej”. Zaproponował abym napisał coś o letniej bazie jeździeckiej w Zdunowicach, którą współtworzyłem i w której prowadziłem w latach osiemdziesiątych wiele obozów. Nie miałem niestety wówczas na to czasu, ale zdałem sobie sprawę, że okres ten jest w historii Akademickiego Klubu Jeździeckiego Gdańsk nieopisany. A był to okres przełomowy i dotyczył studentów wszystkich trójmiejskich uczelni jeżdżących konno.

W ubiegłym roku Marek sprezentował mi tę książkę, w której znalazły się wspomnienia naszych kolegów klubowych z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Przy okazji ponownie mnie zmotywował słowami: „Jak ty tego nie napiszesz to nikt tego nie napisze, a historia twoich ukochanych Zdunowic pójdzie w zapomnienie.”

Jak marnie wyglądałby ten nasz klub bez Marka Biziuka



Historia AKJ Gdańsk

Patrząc na historię Akademickiego Klubu Jeździeckiego Gdańsk wyróżniam cztery okresy jego istnienia.

- okres pierwszy (starogardzki); od założenia klubu w 1966 roku, w oparciu o całoroczne jazdy w Sopocie i letnie obozy jeździeckie w domkach na terenie Państwowego Stada Ogierów w Starogardzie Gdańskim
- okres drugi (zdunowicki); od 1982 roku do końca lat osiemdziesiątych, w oparciu o całoroczne jazdy w Sopocie i własną bazę letnią w Zdunowicach – okres ten udowodnił, że możemy jako klub wziąć na stałe pełną odpowiedzialność za jeźdźców i konie
- okres trzeci (Żeliwiak); na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, jazdy na własnych koniach w oparciu o własną bazę stałą Żeliwiak w Oliwie - okres zakończył się wraz z prywatyzacją Żeliwiaka, a działalność klubu zamarła
- okres czwarty (obecny); od pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych, w nowych warunkach społecznych i gospodarczych, jazdy i imprezy w różnych pomorskich ośrodkach jeździeckich

W trzech pierwszych okresach jazdy i obozy odbywały się również w innych stadach i stadninach, takich jak Kwidzyn, Braniewo, Kadyny, Plękity, Nowęcín, Złotów, itp. Koszty tylko częściowo były ponoszone przez jeźdźców, bo w tamtym ustroju Almaty i poszczególne uczelnie dysponowały specjalnymi budżetami na sport, turystykę, rekreację i kulturę studencką oraz zapewniały duże dofinansowanie.

W obecnym okresie studenci mogą liczyć jedynie na środki własne i darowizny ewentualnych sponsorów.

Warto by pokusić się kiedyś o spisanie historii Akademickiego Klubu Jeździeckiego Gdańsk. Przewinęła się przecież przez niego niezliczona rzesza studentów, wynosząc z jego działalności niezapomniane przygody, szkołę samodzielności i dyscypliny, przyjaźnie i miłości na całe życie, a często także myśl patriotyczną czy umiejętności organizacyjno-menedżerskie. Niestety w klubie trudno będzie o śmiałkę, który podjąłby się napisania takiego dzieła i pewnie będziemy musieli czekać na jakiegoś jeźdźca-historyka, który zechce napisać na ten temat pracę magisterską lub doktorską.



Marzenia o naszej własnej bazie

Letnia baza Akademickiego Klubu Jeździeckiego Gdańsk w Zdunowicach powstała dzięki marzeniom paru osób. Ale kiedy ta idea zaczęła przeobrażać się w realia, wywołała entuzjazm i aktywność dziesiątków członków naszego klubu, którzy masowo ruszyli do prac organizacyjnych przy tworzeniu bazy.

Jeśli chodzi o mnie to było to tak.

Wstąpiłem do klubu w 1977 roku i szkolilem się najpierw pod okiem Rysia Barana, a później Waldka Zajączkowskiego, by w 1979 roku trenować już w grupie sportowej naszego AKJ, której trenerem był Bogdan Kadłubowski. Jednocześnie w okresie ferii i wakacji jeździłem na różne obozy, szczególnie na obozy z AKJ Kraków, na których poznawałem jak wygląda życie klubu, który ma własną, stałą i letnią bazę oraz własne konie. Poziom jazd maneżowych nie był tam zbyt wysoki (na wysokim poziomie stały za to jazdy terenowe), ale tam nauczyłem się przede wszystkim organizacji pracy stajni oraz zasad pielęgnacji i żywienia koni.

W AKJ Kraków szczególnie do serca przypadła mi atmosfera panująca w klubie, przyjacielskie relacje między członkami klubu oparte o wspólne przeżycia jeździeckie, wachty, codzienną pielęgnację koni i częste wspólne imprezy, głównie śpiewane. Wziąłem udział w wielu imprezach AKJ Kraków oraz w czterech obozach: w Szczawie w Gorcach (zimowy obóz ski-skijoringowy), w Krywym w Bieszczadach, w Hańczowej-Ropkach w Beskidzie Niskim i w Tyskowej w Bieszczadach. Moim instruktorem był tam Janusz Mikoś, pseudonim Ułan, z którym przyjaźnię się do dziś, i który za moim staraniem przeniósł się w latach osiemdziesiątych tu do nas, na Wybrzeże.

Na miejsce swojej praktyki studenckiej specjalnie wybrałem Instytut Fizyki Jądrowej w Krakowie i przez miesiąc oczywiście więcej czasu spędzałem w stajni niż w instytucie. Dzisiaj nawet nie pamiętam czy miałem w tym czasie w Krakowie jakieś lokum, bo spałem przeważnie na sianie nad stajnią. Stajnia była zlokalizowana koło Lasku Wolskiego, na zachodzie za miastem, a instytut był na Bronowicach, w północnej części miasta. Któregoś dnia, po wieczornej imprezie, wachta obudziła mnie rano. Mycie pod pompą, w jeden autobus do centrum, przesiadka na tramwaj, potem kolejna przesiadka znowu na autobus, wpadam do instytutu, biały kitel, pracuję, mierzę, liczę, rozmawiam z profesorami i adiunktami by po paru godzinach wejść do toalety i zobaczyć wielki wiecheć siana na swojej głowie! A cały czas w autobusach, tramwaju i w instytucie zastanawiałem się czy widać po mnie nieprzespaną i zakrapianą noc, bo ci wszyscy ludzie jakoś tak dziwnie na mnie patrzą .

W AKJ Gdańsk jazdy odbywały się w Sopocie, na padoku lub w małej czy dużej ujeżdżalni. Jazdy w teren były bardzo sporadyczne, a to ze względu na niebezpieczeństwo przecinania Alei Niepodległości w Sopocie - jadąc do lasu lub ulicy Bitwy po Płowcami - jadąc na plażę. Zresztą jazdy na plażę były niedostępne w okresie maj – wrzesień ze względu na bezpieczeństwo spacerowiczów i czystość plaży. Stąd dla wielu jeźdźców pilnie oczekiwanym i wytęsknionym był obóz letni w jakimś fajnym plenerze. Niestety, nawet wówczas było na tych obozach wiele różnych ograniczeń.

Faktem jest, że dzięki dużej ilości zajęć maneżowych studenci jeżdżący w AKJ Gdańsk mieli w Polsce opinię jeźdźców dobrze wyszkolonych, w przeciwieństwie do wielu klubów, które w swoich programach miały większość jazd terenowych bez odpowiedniego przygotowania technicznego jeźdźców. W terenie instruktor nie jest w stanie na bieżąco wyłapywać i skutecznie reagować na błędy jeźdźców. Tymczasem długie godziny spędzone na ujeżdżalni pod okiem instruktora dają później bardzo pozytywne rezultaty w czasie zajęć terenowych. I dopiero wtedy radość przepełnia duszę jeźdźcy kiedy w pięknym i urozmaiconym terenie nie „walczy o życie”, lecz powoduje koniem według własnych potrzeb i uznania.

W naszym klubie nie podobało mi się to, że po jazdach w Sopocie większość kolegów i koleżanek rozchodziła się do domów, a jedyną możliwą okazją do integracji były letnie obozy wyjazdowe i nieliczne imprezy w ciągu roku, typu Hubertus czy Bal Koniarza. Moim marzeniem było stworzenie własnej, stałej bazy jeździeckiej naszego AKJ na terenie Trójmiasta.

W 1979 roku skończyłem kurs instruktorski w Zbrosławicach i od jesieni, mimo treningów i startów we wspomnianej klubowej grupie sportowej, rozpocząłem zajęcia szkoleniowe i prowadzenie jazd dla studentów naszego klubu na terenie torów sopockich. W listopadzie tegoż roku miałem wystąpienie przed zarządem AKJ Gdańsk „Tworzenie własnego ośrodka jeździeckiego na tle obecnej sytuacji w klubie” (konspekt tego wystąpienia zachował mi się do dziś). Prezesem klubu był w tym czasie Jasiu Stańczak, wiceprezesem Edward Gwóźdź, nazwisk pozostałych członków nie pamiętam. W wystąpieniu tym przedstawiłem kilka wariantów dalszego rozwoju klubu w oparciu o własną bazę, zlokalizowaną w Trójmieście lub na jego obrzeżach (w tym wariant akcji „Hel” – patrolowania Słowińskiego Parku Narodowego). Przedstawiłem korzyści dla klubu z takiego modelu rozwoju oraz wykazałem możliwość jego sfinansowania dysponowanym ówczesnie budżetem klubu. Zaproponowałem również wstępny schemat organizacji pracy klubu w przypadku posiadania własnego ośrodka.

Niestety koncepcja ta, jak i kilka innych, wcześniejszych w historii naszego klubu, nie doczekała się realizacji.

W kolejnych dwóch latach w moim życiu wydarzyło się wiele ważnych wydarzeń, które odsunęły mnie od spraw klubowych; rozpocząłem pracę naukowo-dydaktyczną w Instytucie Fizyki Politechniki Gdańskiej, rok służyłem w wojsku, w końcu szczęśliwie ożeniłem się z Izunią (którą poznałem jako studentkę pierwszego roku Uniwersytetu Gdańskiego gdy trafiła do mnie na lonżę), a w maju 1981 roku urodził nam się pierwszy syn – Kacper.

Tak na marginesie – cały czas jeździłem konno. Nawet będąc w wojsku (rok 1980) wzięliśmy z Izą udział w kilkudniowym rajdzie AKJ Łódź z Łodzi do Krzywego Kołka koło Płocka, i to całkiem legalnie, bo na przepustce, oraz w dwutygodniowym obozie jeździeckim AKJ Kraków w Tyskowej koło Baligrodu. Ten drugi wyjazd to była już, niestety, ucieczka z wojska, dezercja!

Moja miłość do koni (i oczywiście do mojej dziewczyny!) kazała mi oddalić się z jednostki (Pułk Lotnictwa Myśliwskiego w Malborku), zaszyć się na dwutygodniowym obozie jeździeckim w Bieszczadach, a potem wrócić do jednostki z całą świadomością czekającej mnie kary, czyli najprawdopodobniej długiego „pierdła”. Ale miałem to szczęście, że dzień przed moim powrotem do jednostki jeden z myśliwców lądował bez wypuszczonego podwozia i w całej jednostce trwało gorączkowe badanie i wyjaśnianie wypadku. Moje zameldowanie się do zaaferowanego inżyniera pułku, któremu podlegałem, skończyło się na steku wyzwisk i wyrzuceniu mnie za drzwi. Jediną konsekwencją były koszty alkoholu, który musiałem postawić swoim bezpośrednim przełożonym, którzy musieli tłumaczyć się za to, że mnie nie upilnowali. Chociaż czasami zastanawiam się - czy to przypadkiem nie za to właśnie, nieukarane wykroczenie, muszę teraz przez wiele lat użerać się z wojskiem, które jest głównym klientem firmy którą zarządzam?

Ale wspomnienia z jazd i imprez bieszczadzskich pozostały. Było warto.

Wracając do Zdunowic – w 1982 roku moje marzenie stworzenia własnego ośrodka klubowego nadal we mnie żyło. A gdy w lutym na prowadzonej przeze mnie jeździe w Sopocie zjawiał się Robert Zagata, chcący nauczyć się jeździć, sprawa zaczęła wyglądać bardziej realnie. Bowiem rok wcześniej, w maju, odbył się rajd AKJ Gdańsk do Zdunowic. Co roku na wiosnę, tory sopockie organizowały międzynarodowe zawody jeździeckie i potrzebowały miejsca w stajniach dla przyjezdnych koni. Chętnie więc pozbywały się na jakiś czas koni rekreacyjnych. W ten oto sposób zaliczyliśmy, jako klub, kilka rajdów na koniach sopockich. Ten pierwszy do Zdunowic poprowadził Rysiu Skowron, ja miałem przyjemność poprowadzić taki wiosenny rajd do Zdunowic w 1983, a w 1988 roku rajd przeprowadzający już nasze konie na lato z Żeliwiaka do Zdunowic.

Gdy w rozmowach między jazdami na ujeżdżalni Robert przyznał, że po naszym rajdzie konnym chętnie widziałby konie na całe lato w prowadzonej przez niego bazie turystyki pieszej Almaturu w Zdunowicach, szybko przedstawiłem ten pomysł Edkowi Gwoździowi, z którym byliśmy wcześniej razem na obozie w Tyskowej. Obaj bardzo się do tego pomysłu zapaliliśmy. Zrobiliśmy marcowy wyjazd rekonesansowy do Zdunowic mercedesem Rysia Zabłockiego „Kukuły”, który był wówczas jednym z nielicznych posiadaczy aut wśród członków naszego klubu. Stwierdziliśmy, że można to miejsce przygotować na dwumiesięczną bazę letnią, choć widzieliśmy ogrom prac koniecznych do wykonania.

Zdunowice (a właściwie Małe Zdunowice, bo właściwe Zdunowice, z kilkoma gospodarstwami i leśniczówką leżą kilometr dalej, za jeziorem) były w tym czasie zapadłą dziurą w malowniczej, pustej dolinie, ciągnącej się do jeziora Kotynia. Wieś składała się z opuszczonej szkoły na zboczu wzgórza, dwóch gospodarstw (w tym jednego prawdziwego gospodarstwa rolnego Kaszuba o nazwisku Gruchała i jednego nieczynnego, wykorzystywanego jedynie do letniego wypoczynku przez jego właściciela, pana Teplickiego), oraz z kilku ruin budynków drewnianych na kamiennych podmurówkach. Reszta doliny była pusta.

Szkołę przejęło Biuro Podróży i Turystyki Almatu, które było w PRL odpowiedzialne za organizację aktywności turystycznej i rekreacyjnej studentów. Almatu utrzymywał szkołę na potrzeby turystyki pieszej. Słowo „utrzymywał” jest tu zdecydowanie na wyrost – w budynku nie było nic poza kilkoma łózkami piętrowymi i starym stołem do ping-ponga. Woda była w starej, ręcznej pompie przed budynkiem, a dwuoczkowe WC w podwórku pamiętało chyba czasy Wilhelma II Hohenzollerna.

Gospodarz Gruchała był właścicielem większości gruntów w dolinie. Ale obok budynku obory należącej do pana Teplickiego oraz obok budynku szkoły leżały grunty należące do tych obiektów, a więc możliwe do zagospodarowania.

W zarządzie stały się w tym momencie dwie opcje. Prezes Jasiu Stańczak był w tym okresie nadal mocno zorientowany na Starogard Gdański. W rezultacie postanowiono o letniej realizacji zarówno Starogardu, jak i Zdunowic. Był to przełom. Przede mną i Edkiem stało spore wyzwanie.





Zdunowice Małe w 1982 roku; na pierwszym planie baza noclegowa, w głębi po lewej stajnia

Entuzjazm w trudnych czasach

W tym momencie nie można nie wspomnieć o ówczesnej sytuacji politycznej w kraju. Mówimy o pierwszym półroczu 1982 roku, a więc o obowiązującym jeszcze stanie wojennym.

Stan wojenny: w niedzielę rano obudziłem się i zacząłem ubierać na jazdę – miałem prowadzić teren do lasu. Mieszkaliśmy z Izą i małym Kacperkiem w niewielkim pokoiku w akademiku w Górnym Sopocie, tuż koło uniwersytetu (Iza jeszcze studiowała). Włączyłem mały, czarno-biały telewizorek Neptun i zobaczyłem Jaruzela gładzącego o stanie wojennym. Iza przestraszyła się a ja wzruszyłem ramionami. Nie dotarło to do mnie. Byłem tak mocno przekonany o sile ruchu Solidarność w całej Polsce, że nie wierzyłem aby wojsko mogło cokolwiek zrobić. Nie doceniłem ich.

Kolejka SKM jeździła normalnie. Większość jeźdźców (a może nawet wszyscy) dotarła na jazdę i dwie godziny włóczyliśmy się konno w głębokim śniegu sopockich lasów. Szara rzeczywistość dopadła nas w następnych dniach. Najpierw strajk pracowników politechniki, który po kilku dniach musiałem opuścić gdy dowiedzieliśmy się, że do naszego akademika ma wejść ZOMO i muszę gdzieś przenieść się z Izą i półrocznym dzieckiem. Pojechaliśmy do moich rodziców na ulicę Krowoderską w Gdańsku i mieszkaliśmy tam około miesiąca, aż pozwolono

nam wrócić do akademika. No i dalej: ostentacyjnie noszę znaczek Solidarność przypięty do swetra na zajęciach ze studentami, kolportuję bibułę w Instytucie Fizyki (odbieram ją od zaufanego na Wydziale Architektury), jestem optymistą i wierzę w zwycięstwo, ale wściekam się gdy Iza stoi godzinami w kolejce po jajka „chłodnicze” dla naszego małego synka.

A tam w lesie i na polach szaleństwo galopu, wiatr w twarz, kilkugodzinna wolność, tam można zaśpiewać „bolszewika goń, goń, goń . ”.

Na nasz apel do członków klubu o włączenie się w przygotowania bazy w Zdunowicach odpowiadano z entuzjazmem. Z pewnością wielu młodych ludzi szukało alternatywy na spędzenie lata w sytuacji zamknięcia granic. Ale podejrzewam, że dla wielu z nich, tak jak i częściowo dla mnie, był to rodzaj emigracji wewnętrznej, ucieczki od szarej rzeczywistości. Na robocze weekendy wiosenne, przygotowujące Zdunowice na przyjęcie koni, przyjeżdżało po 30-40 osób.

A pracy było sporo. Na stajnię trzeba było zaadaptować starą oborę w gospodarstwie pana Teplickiego. Do tego trzeba było wyremontować mu dom, co było ceną jaką wynegocjował z nim Robert Zagata za korzystanie ze stajni. No i zrobić dwa ogrodzenia: jedno duże, około pół hektara, od bazy noclegowej (starej szkoły) w dół zbocza do drogi oraz drugie, niewielkie przed stajnią (dopiero w kolejnych latach powiększyliśmy je do prawie ćwierć hektara, od stajni do drogi). Na płaskiej części tego większego wybiegu zorganizowaliśmy maneż, który dopiero w następnych latach przenieśliśmy pod drzewa pomiędzy drogami, w miejsce gdzie istnieje do dziś.

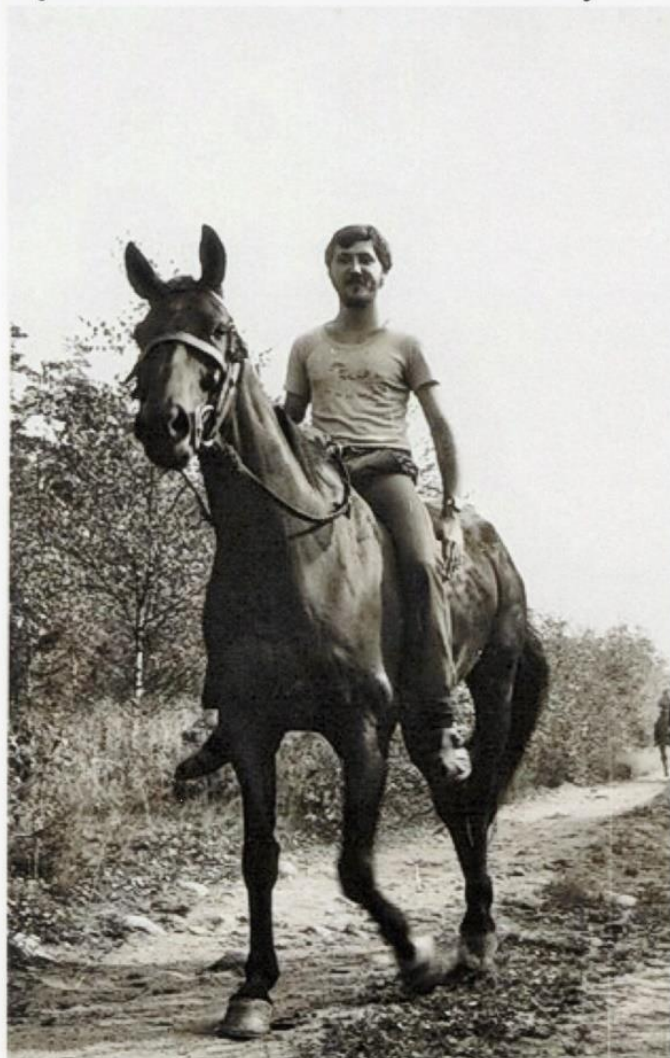
Jeśli chodzi o stajnię to prac wymagała przede wszystkim podłoga – stare, drewniane klocki zupełnie spróchniały i trzeba było zrobić nową podłogę. Do tego przedzielniki koni, uwiązki i kilka żłobów.

Szczęściem w szkole było sporo grubych, solidnych desek rozbiórkowych, które mogliśmy wykorzystać. Na żerdzie zaś mieliśmy układ z leśniczym ze Zdunowic, że wszystko co leży w lesie możemy sobie ściągnąć. W każdy weekend kilkadziesiąt osób penetrowało okoliczne lasy i zносиło drągi. Dziewczyny dostały zadanie dokładnego przeszukania całego grozonego terenu i usunięcia wszystkich niebezpiecznych przedmiotów znajdujących się w ziemi – złomu, szkła, większych kamieni, linek, itp. W czasie jednego z pierwszych wyjazdów rozebraliśmy pozostałości wszystkich starych, zniszczonych budynków w dolinie – „Kukuła” zrobił z tego materiału rozbiórkowego największe ognisko jakie w życiu widziałem.

Do szkoły sprowadziliśmy z wojska brezentowe łóżka polowe. Było też kilka metalowych, piętrowych oraz stary stół. Nie wiem skąd wzięliśmy gary, chyba Almaty przetrzymał nam z któregoś ze swoich ośrodków.

Na początku lipca baza była gotowa. Wcześniej Edek zwrócił się do pana Andrzeja Orłosa, ówczesnego trenera reprezentacji Polski, o pomoc w wypożyczeniu koni. Pan Andrzej załatwił nam przychylność dyrektorów trzech stadnin. Były to Liski (przy granicy z Rosją), Kadyny i Rieczna. Pan dyrektor Pietrzyk z Riecznej zwizytował nas zresztą w lecie w Zdunowicach i wyraził swoje uznanie. Miejsce tak mu się spodobało, że zaoferował nam swoje usługi masztalerskie w Zdunowicach, jak przejdzie na emeryturę ;-)

W lipcu 1982 roku wypożyczonym z torów koniobusem ruszyliśmy z Edkiem i Krzysiem Michną po konie. W Liskach załadowaliśmy pięć koni: Aula, Afryka (moja ulubiona, mimo że miała kilkanaście lat w Zdunowicach przeżywała chyba drugą młodość), Czeczuga (kupiliśmy później tego konia i służył nam ponad 10 lat), Wenuzja i Rawa (niestety nie mogła chodzić w teren, gdyż zaczynała wtedy wariować: wspinać się lub wpychać w najgęstsze zarośla; biedny Marek Rapacki, zanim się o tym przekonaliśmy, spytał z siodła po karku i głowie Rawy gdy ta zaczęła z trzaskiem suchych gałęzi tyłem zanurzać się w bardzo gęsty, suchy las sosnowy – był to oczywisty i zamierzony przez Rawę zamach na jeźdźcę), w Kadynach trzy: Halemba, Hypatia i Lamora, a w Riecznej też trzy: Czepa, Damaska i Wojna. Byliśmy super szczęśliwi! Po latach starań wieźliśmy do naszej bazy letniej 11 koni!



Przywieźliśmy konie



Konie wyładowaliśmy na asfalcie Sulęczyno – Lipusz i jechaliśmy po 2-3 po kolei na oklep do bazy, gdzie czekało już trochę ludzi. Nie zapomnę dzikiego tańca radości Pela (Wojtek Rezmer) z chwilą wyłonienia się nas z lasu na pierwszych koniach. Pelo zaczął wznosić jakieś okrzyki, podskakiwać, biegać w kółko i wykonywać różne inne, dziwne, nieskoordynowane wygibasy radości.

Organizacja obozu

I tak pierwsza własna letnia baza AKJ Gdańsk stała się w 1982 roku faktem. Z pewnością nie powstałaby bez olbrzymiego osobistego zaangażowania trzech osób: Edka Gwoździa (nasze drogi rozeszły się później, po prywatyzacji Żeliwiaka), Roberta Zagaty i mnie. Ale nie powstałaby również bez aktywnego włączenia się takich osób jak: Krzysiu Michna, Krzysiu Mania (Maniek), Krzysiu Musiałek (Młody), Wojtek Rezmer (Pelo), Andrzej Czechowski, Zbyszek Łuczak (Paszczak) czy Leszek Kwapisz. Większość z nich zrobiła później uprawnienia instruktorskie i prowadziła swoje obozy.

W 1983r. Almaturow przeprowadził w Zdunowicach remont bazy noclegowej i nie było tam obozów letnich - obozy odbyły się w Złotowie. W kolejnych latach Zdunowice 1984 – 1989 w działalność w Zdunowicach aktywnie włączyli się jeszcze: Rysiu Skowron, Jasiu Stańczak, Ala Zientarska, Alek Synowiecki, Bodzio Grabarczyk, Marek Gruchot, Marek Stańczak, Daniel Zydek, Basia Walecka, Artur Uziembło i inni, w tym młode pokolenie z grupy Piotra Frączka, które z czasem przejęło władzę w klubie oraz stworzyło i prowadziło Żeliwiak.

W 1982 roku wśród entuzjastów powstania bazy w Zdunowicach tylko my dwaj z Edkiem posiadaliśmy uprawnienia instruktorskie i podzieliliśmy pierwsze lato w Zdunowicach na cztery turnusy: dwa pierwsze prowadził Edek, a dwa końcowe ja. Tym niemniej byłem na początku przez parę dni z końmi, bo tak jak Edek, ze swoim talentem i ambicjami działacza, był odpowiedzialny za zorganizowanie wielu spraw i zapewnienie finansowania całości, ja byłem odpowiedzialny za organizację stajni i jazd oraz żywienie i pielęgnację koni (w tym drobne zabiegi weterynaryjne). Musiałem wykorzystać wszystkie swoje umiejętności i doświadczenie, w tym to które zdobyłem dzięki uczestnictwu w życiu klubowym AKJ Kraków, aby udowodnić, że jako klub jesteśmy w stanie przejąć pełną opiekę nad końmi. Później, przed latem 1984 roku, zorganizowaliśmy dla naszych młodych instruktorów kurs weterynaryjny na torach sopockich, prowadzony przez Grzesia Chajęckiego, świetnego lekarza weterynarii opiekującego się wówczas końmi w Sopocie.

W Zdunowicach najczęstszymi urazami u koni były lekkie podbicia kopyt, gdyż konie nie były kute. Raz na jakiś czas jeździliśmy na czyszczenie kopyt do Węsiar, do starego kowala, który kiedyś podobno kuł konie ułanom. Podbicia wynikały ze zmiennego podłoża na Kaszubach; w trakcie jednego galopu mogło ono zmienić się kilkakrotnie, od leśnego trawiastego duktu, przez zakurzoną, piaszczystą drogę,

po trakt wyjeżdżony, twardy i pełen kamieni. Praktycznie nawet lekko podbity koń musiał odstać swoje w stajni i na pastwisku. Dlatego też dużą uwagę w terenie przywiązywaliśmy do odpowiedniego wyboru trasy i rodzaju chodu, a także do regularnego czyszczenia strzałek kopystką i usuwania ewentualnych kamyczków.



Przejmuję obóz od Edka, który na ostatniej swojej jeździe złamał rękę

Na nasz pierwszy turnus mogliśmy pojechać z Izą sami, bo naszego półtorarocznego Kacperka wzięła teściowa do Szczecina. Drugi turnus byliśmy już we trójkę, ale Robert wygospodarował mały pokój instruktorski i łóżeczko, a dziewczyny solidarnie wyręczały Izę w opiece nad dzieckiem w czasie gdy miała ona jazdę. W kolejnych latach chłopak zawsze był z nami i zasypiał przy ogniskach (pod koniec Zdunowic jeździł już z nami także drugi syn – malutki Mateusz). Z tamtych czasów do dziś Kacprowi został dar szybkiego zaprzyjaźniania się z ludźmi :-)

Obóz był zorganizowany w ten sposób, że codziennie były wyznaczone dwie wachty: stajenna i kuchenna. Stajenna była 24 godzinna i była odpowiedzialna za żywienie i pielęgnację koni oraz czystość i porządek w stajni. Kuchenna robiła trzy posiłki dzienne dla wszystkich. Musiała się starać, gdyż za niedobre jedzenie groziła im zimna pompa przed bazą, co zdarzało się nierzadko, a chętnych do wymoczenia wachty pod pompą w takim przypadku nie brakowało. Obowiązkiem wachty kuchennej było też dbanie o czystość w kuchni oraz zakupy żywnościowe. W sytuacji pustych półek w sklepach nie było to łatwe, ale na oficjalny obóz mieliśmy jakieś przydziały dla uczestników załatwione przez Almatu.

Jeśli zaś chodzi o waletów to przytaczam tu fragment „Regulaminu Ośrodka Jeździeckiego AKJ Gdańsk w Zdunowicach na rok 1982”, którego rękopis zachował się w moich dokumentach.

„pkt 6. Odpłatność waletów wynosi 250 zł dziennie (210 zł dla waletów z góry rezygnujących z jazdy). Dodatkowo waleci oddają kartki na mięso, masło i cukier w minimalnej ilości 1/30 przydziału miesięcznego dziennie.”

Żadnego z posiłków nie można było zacząć konsumować bez sakramentalnego „smacznego” wypowiedzianego przez instruktora, który wcześniej upewniał się że przyszła już wachta stajenna i wszystko co trzeba zostało zrobione. Było to odzwierciedleniem żelaznej zasady Zdunowic: zawsze musimy być pewni, że z końmi jest wszystko OK, bo to konie na tych obozach są najważniejsze.

Obie wachty nie jeździły, przynajmniej w teren

Jazdy były dwa razy dziennie. Rano, przed śniadaniem, dwugodzinny teren, a popołudniu dwie godzinne jazdy na maneżu. Czasami, w księżycową noc, lubiłem zamiast terenowej jazdy porannej wyrwać ludzi ze snu na jazdę nocną. Było to dla wszystkich olbrzymie przeżycie; cisza, blask księżyca odbijającego się w srebrnych jeziorach, przejeżdżanie przez wsie z komendą „żeby mi tylko tam z tyłu jakieś strzemię nie zadzwoniło!”, czy wreszcie galop w czarnym lesie. Nigdy nie miałem problemów z orientacją w terenie, ale wiem że jeźdźców z tyłu czasami ogarniał strach czy przypadkiem nie zabłądziliśmy. To normalne nawet w czasie jazdy dziennej, że jeźdźcy z tyłu nie kontrolują swojego położenia w terenie. Na którymś z nocnych terenów, po blisko dwugodzinnej jeździe i stępowaniu już w kierunku stajni, przesunął się do mnie Alek na swoim koniu i dyskretnie, jak brat brata, zapytał troskliwie czy wiem gdzie jesteśmy. W odpowiedzi tylko rzuciłem komendę „popuścić popręgi”, gdyż właśnie zaczęliśmy przekraczać asfalt Sulęczyno – Lipusz i wtedy Alek zorientował się, że za 10 minut stępa będzie stajnia. Starłem się robić ludziom frajdę nocnej jazdy przynajmniej raz na każdym prowadzonym przeze mnie obozie.

Waleci, których zawsze było pełno, mogli liczyć tylko na jazdę na maneżu, bo terenu nikt z oficjalnych uczestników obozu nie odpuszczał. To właśnie z myślą o waletach była ta druga godzina maneżowa popołudniu.

Zachował mi się jeszcze opis porządku dziennego dla koni i ludzi. Wyglądał on następująco:

5.30 – pojenie koni

6.00 – obrok i siano, pobudka

7.00 – jazda, w stajni czyszczenie lub wymiana ściółki

9.00 – śniadanie

10.00 – godzinna praca na rzecz ośrodka

12.30 – pojenie koni

13.00 - obrok i siano

15.00 – obiad

16.30 – jazda, w stajni czyszczenie ściółki

19.30 – pojenie koni

20.00 – obrok i siano

20.30 – kolacja

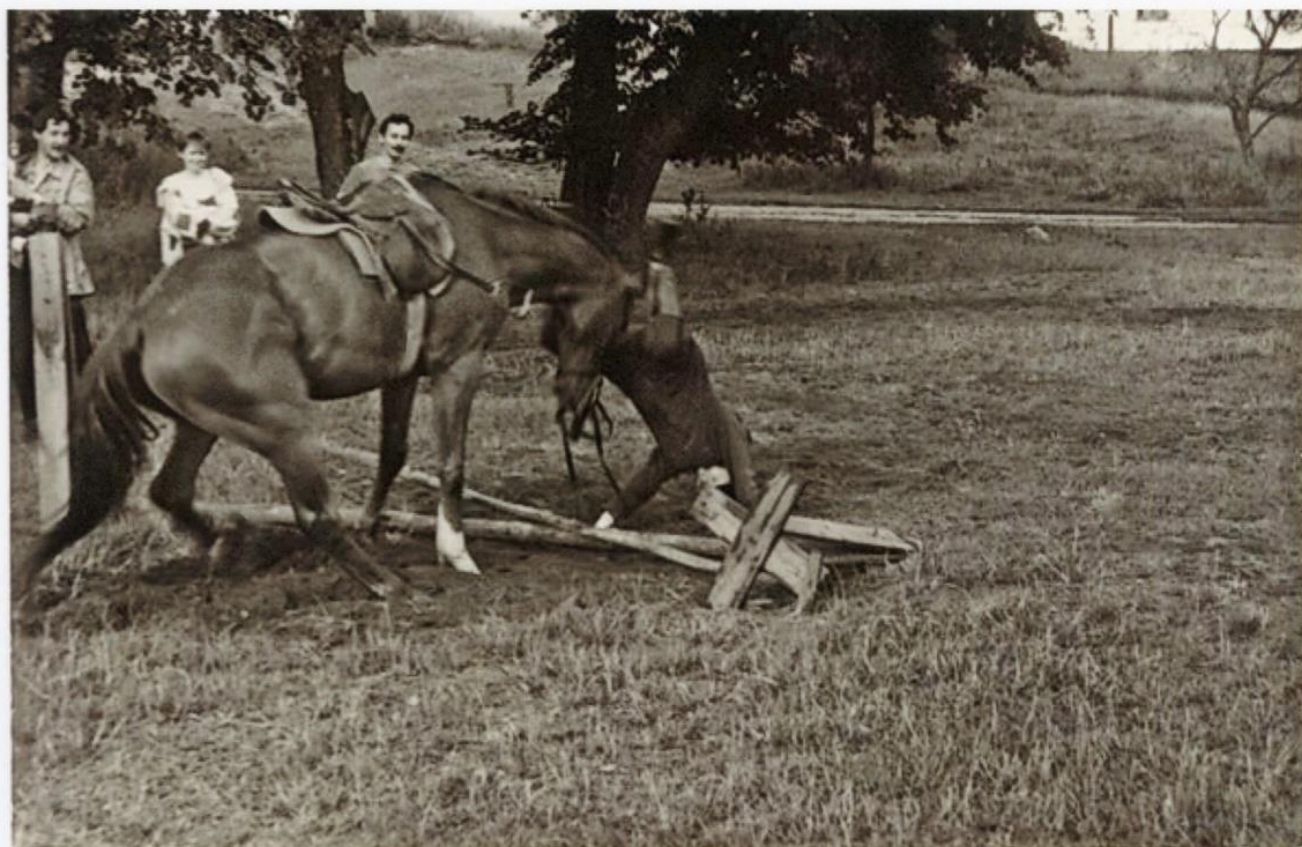
22.00 – zmiana wacht

23.00 – zakładka z siana

Jeden dzień w tygodniu był „dniem konia”. Nie było wówczas żadnych jazd, a konie odpoczywały na wybiegu.

Na zakończenie każdego turnusu zawsze były jakieś zawody „na wesoło”. A to jazda tatarska (slalom i skok ze strzemionami ale bez siodła), a to drągi i stacjonata ze świeżym jajem w zębach, a to zbieranie w galopie na drewnianą szablę kółek zaplecionych z gałązek, a to wreszcie jakaś króciutka trasa na oklep na czas, z podnoszeniem czegoś z ziemi lub pniaka. Na jednej z tych jazd tatarskich w 1982 roku moja Izunia tak gębnięła, że do dzisiaj tego dnia nie pamięta, a po upadku zadała mi chyba 30 razy pytanie z jakiego konia spadła, mimo 30-to krotnej odpowiedzi. Dopiero jak się przespała to przestała pytać.

Dosyć karkołomnie fiknęła też w 1987 roku z Kadrylą, ale na szczęście bez konsekwencji.



Iza spada z Kadrylą, w głębi Ania i Robert Zagata oraz ja z Mateuszem na rękę

Zachowały mi się także moje zapiski instruktorskie z każdego prowadzonego przeze mnie obozu w Zdunowicach (mam także ze Złotowa). Dzięki nim możemy dziś odtworzyć kto, którego dnia i na jakim koniu jeździł. Załączam scan moich notatek zjazd na turnusach w 1982 roku Dla wyjaśnienia trzeba podać, że w moim pierwszym turnusie (TURNUS III 18.08 – 31.08) brali udział:

1. Zbyszek Łuczak „Paszczak” kierownik
2. Daniel Zydek
3. Gosia Markowska
4. Beata Paruch
5. Mariola Mazurowska
6. Krzysztof Musiałek „Młody”
7. Mariola Kapuścińska
8. Lucyna Jóźwiak
9. Krzysztof Michna
10. Ania Poniatowska
11. Romek Łukasiewicz
12. Dagmara Plewik
13. Iza Synowiecka



Byli też waleci, m.in. Krzysiu Mania, Piotr Pęcina, Marynia Helenowska, krótko Andrzej Czechowski.

	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31
	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31
• Jola	S	Aula	Helenka	K	—	—	—	—	Hypatia	S	Dorotka	—	Ciepa	—
• Krzywicki (Pob)	S	Aula	Lamora	K	—	Ciepa	—	Lamora	—	S	Ciepa	—	Lamora	Ciepa
• Ania	K	Ciepa	—	Helenka	\$	S	—	—	—	—	—	S	—	—
• Tomek	K	Hypatia	Aula	—	\$	S	—	—	Aula	—	Ciepa	S	—	Lamora
• Gosia	Ciepa	Lamora	S	—	Dorotka	K	—	S	Lamora	—	Aula	K	—	Ciepa
• Lusia	—	S	—	Aula	K	Dorotka	—	S	—	Lamora	K	—	Hypatia	Ciepa
Mariola	—	K	—	—	S	—	—	—	—	K	—	—	S	—
• Mariola Kap	—	K	Ciepa	Dorotka	S	Aula	—	—	—	—	S	—	Dorotka	Hypatia
Beata	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
• Krzywicki	Hypatia	Helenka	S	Aula	—	Ciepa	—	—	S	Ciepa	—	—	K	—
Dagmara	—	Ciepa	K	Lamora	—	—	—	—	Ciepa	K	—	—	Helenka	S
Dorotka	—	Hypatia	K	Ciepa	—	—	—	—	Ciepa	K	—	—	—	S
• Paszczak	Helenka	Aula	Ciepa	\$	—	Hypatia	—	—	Ciepa	—	—	—	Aula	S
• Piotr	—	Aula	Hypatia	\$	Aula	—	—	—	—	—	—	—	—	—
• Mariola	Aula	Ciepa	Dorotka	—	—	—	—	—	Ciepa	—	S	—	—	—
Asia	—	—	—	—	—	—	—	—	—	K	—	—	—	—

W drugim turnusie (TURNUS IV 2.09 – 15.09) uczestniczyli:

1. Krzysiu Michna – kierownik
2. Ania Weirowska
3. Grzesiu Szulc
4. Gabrysia Imielińska
5. Tomek Przeździak
6. Gosia Świdowska
7. Hania Świdowska „Młoda”
8. Beata Niedzielska
9. Lucyna Kowalska
10. Bogumiła Latocha
11. Dorota Hulak
12. Gosia Markowska
13. Bogumiła Dombek/ Marzena Soniewicka



Stali waleci to m.in. Krzysiu Mania, Iza Synowiecka, Wojtek Rezmer „Pelo”, Mariola Kapuścińska, krótko Andrzej Czechowski i Rysiu Skowron.

	TURNUS IV							TURNUS IV						
	czw 2	piąt 3	sob 4	wiech 5	pon 6	wt 7	(su p)	czw 9	piąt 10	sob 11	wiech 12	pon 13	wt 14	(su p) 15
Gosia Bogumiła	K	—	—	—	S	—		K	Czepa	—	S	Czepa	—	K 2
• Onieśli	K	Halenka	Hypatia	—	S	Ania		Czepa	Czepa	Hypatia	Czepa	Ania	—	S 8
Beata	S	Czepa	—	Halenka	—	Czepa		Hypatia	Ania	Lamora	Hypatia	K 10	—	7
Ania	nb	nb	—	K	—	—		S	Halenka	—	K	Lamora	—	nb x 2
• Gosia M	Damarka	S	Halenka	Czepa	K	Damarka		Czepa	Ania	S	nb	Lamora	K	Czepa 7
- Dorota	S	—	—	—	K	—		—	S	S	—	—	K	—
Młoda	K	Lamora	Hypatia	Ania	S	—		Halenka	Czepa	Czepa	Czepa	S	S	Hypatia 7
• Lucyna	K	—	—	—	S	—		—	Czepa	—	—	S	S	nb 2
• Gabrysia	Hypatia	K	Damarka	Hypatia	Czepa	S		Ania	Czepa	K 10	nb	—	nb	nb 8
• Tomek	Czepa	K	Czepa	Lamora	Czepa	S		Ania	Halenka	K	Lamora	Czepa	—	Czepa 8
Gosia	—	S	Lamora	—	—	K		—	Czepa	—	Ania	S	S	Lamora 3
- Bogna	—	S	—	—	—	K		—	—	—	—	Hypatia	S	nb x 1
• Krzysiek	Halenka	Hypatia	Czepa	S	Damarka	—		Ania	Halenka	Damarka	K	Damarka	—	Hypatia 8
• Iza	—	—	—	—	Halenka	—		Czepa	Hypatia	—	Halenka	Damarka	—	Damarka 7
Robert	S	Czepa	—	—	nb	Halenka		—	Czepa	Ania	Hypatia	—	—	6
Maria (Bezosty)	—	—	—	—	—	K		K	—	—	—	—	—	—
Maria (Ania)	—	Damarka	S	Czepa	Hypatia	—		S	Damarka	Ania	Czepa	—	—	—
• Pelo	—	Czepa	K	Czepa	Czepa	Ania		—	Czepa	—	—	—	—	—
Gosia	—	—	—	—	—	—		Damarka	Halenka	—	—	—	—	—

30 lat minęło. Od kilku lat Robert Zagata, mieszkający w Sulęczynie, organizuje na swoich koniach kilkudniowy, wiosenny rajd „Zdunowickie Klimaty”, w trakcie którego włączymy się w siodło i powozem po okolicach Zdunowic. Stałymi jego uczestnikami są m.in. takie osoby jak: Krzysztof Musiałek „Młody”, Krzysztof Michna, Wojtek Rezmer „Pelo”, Iza Synowiecka, Rysiu Skowron, Krzysztof Mania, Ania Weirowska (obecnie Ania Rezmer), Hania Świdorska „Młoda” (obecnie Hania Skowron), Romek Łukasiewicz.

Spójrzcie wyżej – toż to osoby z obozów 1982 roku! Na czym polega magia tego miejsca?

Nasze miejsca i przygody

Położenie Zdunowic było wyborne. Z Sulęczyna na południe przez las było około 6 kilometrów, więc można było z Trójmiasta przyjechać autobusem i zaliczyć godzinny marsz przez las.

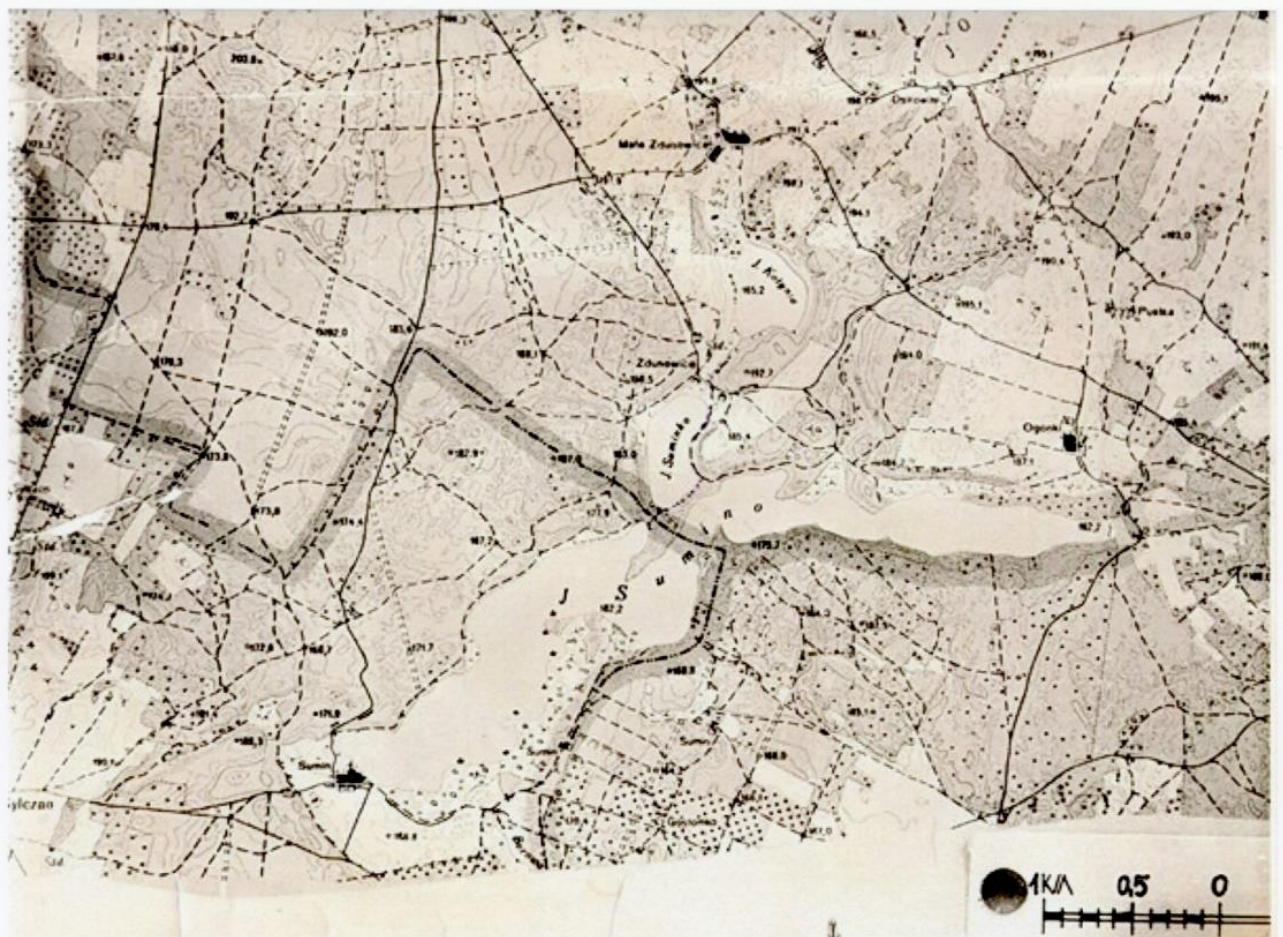
Większość terenów w promieniu 1 godziny jazdy konnej pokrywały lasy, skrywając w sobie 15 mniejszych i większych jezior. W lasach kryły się też różne bagienka, które omijaliśmy szerokim łukiem, ale które były bardzo malownicze. W lasach było też bardzo dużo jałowców (chyba największe zagęszczenie jałowców na Kaszubach), które dodają lasom dużo uroku i tajemniczości. A to wszystko w terenie bardzo mocno pofałdowanym, z licznymi jarami, rozpadlinami, stromiznami, wzgórzami, skarpami i punktami widokowymi. Nasz rejon działania (zakładając jazdę terenową nie dłuższą niż dwie godziny) od północy ograniczony był właśnie szosą Kartuzy – Sulęczyno – Bytów, a na zachód sięgał aż po jezioro Mausz. Kierunek południowo-zachodni ograniczały dopiero zabudowania wsi Sylczno, a całą południową granicę naszej aktywności stanowiła rynna jeziora Sumino. W kierunku zachodnim docieraliśmy do wsi Ogonki, Niesiołowice, Węsiory. Tereny były puste, wykorzystywane jedynie przez miejscową ludność. Turysta był rzadkością i nie było tego co stanowi dziś na tych terenach prawdziwą plagę – ciągnących się kilometrami kolonii domków rekreacyjnych.

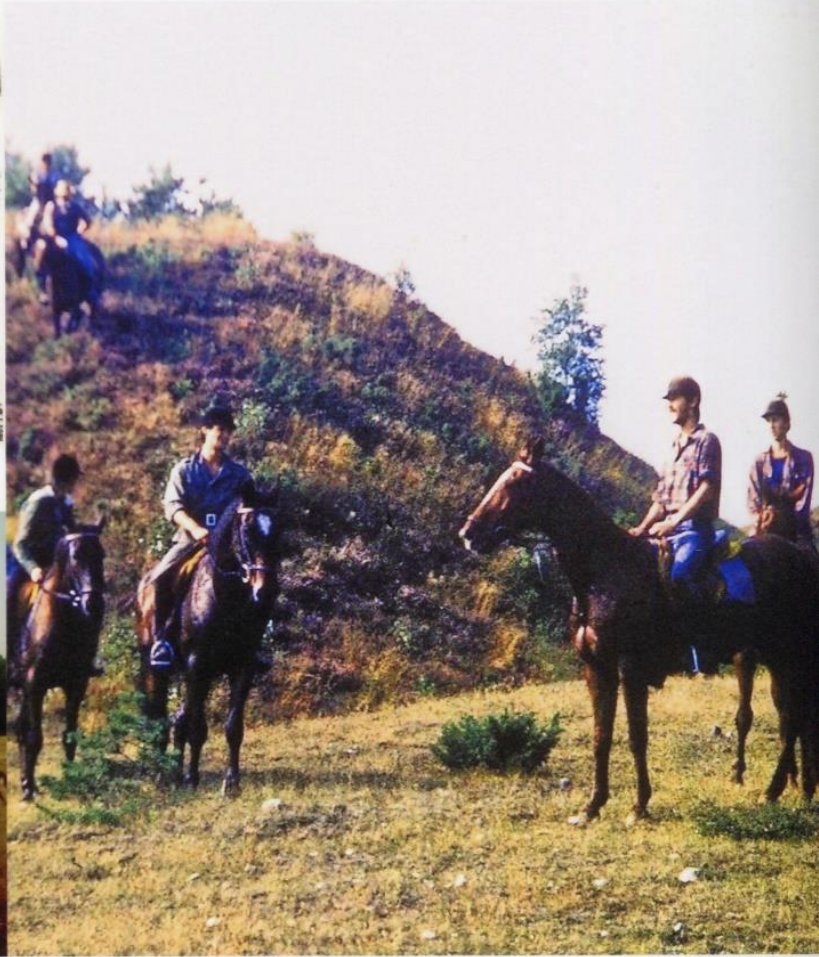
Po kilku obozach jeździeckich trudno by było na tym obszarze znaleźć dukt, przecinkę lub dróżkę, która nie byłaby mi znana.





Ówczesna mapa okolic Zdunowic – część północna i południowa





Na tym terenie, my instruktorzy, mieliśmy swoje ulubione miejsca i swoje dla tych miejsc nazwy. Do moich ulubionych należały m.in. takie jak:

Bród Pęciny – bród (dziś już nieistniejący, usypano tam piaszczystą drogę) pomiędzy jeziorami Czarne i Skrzynka w pobliżu Niesiołowic. Jego szerokość i głębokość zmieniała się w kolejnych latach w zależności od poziomu wód w jeziorach. Odkryłem go przypadkowo. W pierwszy lub drugi weekend trwania pierwszego turnusu 1982 roku w Zdunowicach zarzuciłem plecak na plecy i pojechałem autobusem do Zdunowic, aby spojrzeć na konie. Schodzę pieszo do doliny po bruku od strony Sulęczyzna i nagle widzę okrzyki radości na mój widok pracującej w stajni wachty. Okazało się, że trzy dni wcześniej Edek dostał w udo kopa od Wenuzji i nie był w stanie usiedzieć w siodle, skutkiem czego nie było jazd terenowych. Moje pojawienie się dało więc jeźdźcom nadzieję na wymarzony teren. Tak się też stało. Problem był taki, że ja tego okolicznego terenu wówczas zupełnie nie znałem, nie licząc oczywiście moich wcześniejszych godzin spędzonych nad mapą i jej odczytywaniem. No ale nie było wyjścia. Spojrzałem jeszcze raz na mapę, wprowadziłem do swojej pamięci trasę i ruszyliśmy na północny-zachód. Wszystko dobrze szło do momentu kiedy jadąc już na zachód wzdłuż południowego brzegu jeziora Długie stwierdziłem, że otacza mnie woda i jestem na końcu półwyspu, a nie ma przede mną drogi o której mówiła mapa. Co robić? Wracać tą samą drogą to duża strata czasu i wrażeń. Na jeziorze pływał rybak. Krzyczę do niego czy tędy przejedziemy – odpowiada że tak, ale czy można mu wierzyć? Końmi nie chcę wchodzić do wody bo nie znam dna, nie wiem też jak zachowają się konie, których wtedy jeszcze nie znałem. Odwracam się więc do tyłu i pytam „czy jest śmiałek który chciałby przejść pieszo przez wodę na drugi brzeg?”. No i wtedy zgłasza się Piotruś Pęcina. Rozebrał się do majtek i brodzi. Doszedł do połowy, woda po pas, ale krzyczy, że dno cały czas twarde i piaszczyste. OK, wracaj! Ubrał się i powoli, stępem zaczęliśmy przekraczać bród. Woda w środku brodu sięgała koniom do brzuchów, jest super. No i wówczas, po przejściu całego brodu, oczywiście nawrót jeden, potem drugi, w kłusie, potem w galopie, tam i z powrotem, co za frajda! Po powrocie do bazy opowiedzieliśmy, że odkryliśmy bród „A jaki jest głęboki?” zapytano. „No tak, hmm, do połowy Pęciny”. Niewtajemniczoną muszę tu wyjaśnić, że pęcina u konia to część nogi powyżej kopyta, o długości około 20cm. A ponieważ w ustnej odpowiedzi dużej litery nie słychać, więc większość zrozumiała, że do połowy pęciny końskiej, a nie do połowy Piotra Pęciny. A różnica jest duża i trzeba było za to niezrozumienie płacić niespodziewaną kąpielą w jeziorze. Często później różne jazdy wpadały na bród nieprzygotowane na tak głęboką wodę, co przynajmniej kończyło się tym, że wszyscy byli mokrzy od stóp do głów. A dodatkowo bród krył niespodziankę – w jego środku, pod wodą, było głębsze koryto dawnego strumienia łączącego jeziora. Jeśli czyjś koń trafił w galopie przednimi nogami w to zagłębienie, to kąpiel była murowana, czasami nawet razem z koniem.



Na Brodzie Pęciny, przy niewysokiej wodzie

Ptasi Raj – bagienny rezerwat ptaków w osadzie Ostrowite, przylegającej do Zdunowic od strony północno-wschodniej. Malowniczość tej kotliny bagiennej i tysiące ptaków robiły wrażenie na wszystkich jeźdźcach. Droga wspinała się po zboczu w bezpiecznej odległości od bagien, dając świetny widok na cały rezerwat.

Koniostrada – bardzo szeroka przecinka w lesie sosnowym, z miękkim podłożem, położona około 0,5 km na zachód od szosy Sulęczyno – Lipusz i biegnąca do niej równolegle. Była wspaniała do szybkiego galopu, ale jadąc nią w kierunku południowo-zachodnim szykowała jeźdźcom dodatkowy skok adrenaliny – przechodziła w drogę leśną szybko opadającą w dół, by nagle skrócić o 90 stopni w lewo, a po kilku metrach w prawo, w kierunku wsi Sylczno. Niejeden jeździec rozstał się z siodłem na tych zakrętach . .





Koniostrada

Kanada – (wymawiane z akcentem na ostatnią sylabę) czyli wspaniały widok na szmaragdowe jezioro Suminko ze zbocza wzgórza z sosnowym lasem, położonego na południowy-zachód od leśniczówki w Zdunowicach. Jest to jedno z moich najbardziej ulubionych miejsc. Zdarzyła mi się tam też zabawna przygoda z moim starszym bratem Alkiem. W którymś momencie stwierdził on, że umiejętność jazdy konnej jest mu potrzebna w jego zawodzie aktorskim, czym się wówczas zajmował. Zapisał się do klubu i do mnie na lonżę, a zaraz po zimowych jazdach na ujeżdżalni trafił mu się rajd wiosenny do Zdunowic, który prowadziłem w 1983 roku. Przebywając z końmi przez tydzień w Zdunowicach mieliśmy normalne jazdy, w tym jazdy w teren. A ponieważ byłem zakochany w zdunowickich plenerach to chciałem bratu i pozostałym jeźdźcom pokazać najpiękniejsze miejsca. I wówczas, chyba był to Alka pierwszy teren z galopem, poprowadziłem jazdę wzdłuż jeziora Sumino. Kiedy jadąc na zachód minąłem po prawej jezioro Suminko zagalopowaliśmy i dalej poruszaliśmy się na północ wzdłuż jeziora Suminko, mając je cały czas po prawej. Później droga zaczęła się wznosić na omawiane wzgórze, galopowaliśmy lekko pod górę w rzadkim, sosnowym lesie nabierając wysokości, mając po prawej coraz pełniejszy i piękniejszy widok na przebłyaskujący między drzewami szmaragd jeziora. Coś pięknego! Zbliżając się już do leśniczówki przeszliśmy do kłusa, a później do stępa. Długa wódza, konie parskają, odwracam się do Alka, który jechał tuż za mną

i pytam „No i jak Ci się podobało jeziorko?”. Na to słyszę: „Jakie jeziorko?” Tak, tak, syty nie zrozumie głodnego, a instruktor czasami nie zrozumie jeźdźca walczącego na koniu o przetrwanie .

Kanion Maryni – głęboko wcięty, stromy, piaszczysty jar wcinający się w wysokie, wówczas niezalesione zbocze na południowym brzegu jeziora Czarne koło Niesiołowic. Nazwę swą zawdzięcza Maryni Helenowskiej. Jak wszystkim jeźdźcom wiadomo pewne przygody w czasie jazdy mogą kosztować jeźdźcę pół litra. Do takich przygód należy przede wszystkim upadek z konia, ale na naszych jazdach cenę tą można było również zapłacić za wyprzedzenie czołowego lub opuszczenie siodła bez zgody prowadzącego instruktora. Zdarzyło się, że podchodziliśmy dnem jaru do góry i na naszej ścieżce pojawiła się jakaś sterta gałęzi, które mogłyby pokaleczyć koniom nogi. Jediną możliwą drogą pozostało więc sforsowanie zbocza jaru, bardzo stromo w górę. Wydałem odpowiednią komendę i bractwo ruszyło w wyznaczonym kierunku. Kiedy konie osiągnęły skraj zbocza odwróciłem się i zauważyłem, że koń Maryni Helenowskiej leży na zboczu płasko na brzuchu, a na nim również na swoim brzuchu leży płasko Marynia, zadzierając z tyłu nogi tak, by nie dotykały ziemi i wpatrując się we mnie wielkimi jak guziki oczami. Przestraszyłem się i krzycząc z góry zacząłem wypytywać Marynię czy coś się stało. Cisza. Dopiero po chwili zrozumiałem; rzuciłem komendę „z konia!”, po której Marynia zsunęła się z konia, chwyciła go przy pysku i pomogła mu wygrzebać się z piachu, w którym po prostu utknął. Tak oto Marynia obroniła się przed postawieniem pół litra, a jar został przez nas ochrzczony Kanionem Maryni.



Kanion Maryni

Przeszkoda Kacpra – w „dzień konia” jako instruktor miałem trochę czasu. Wziąłem więc raz mojego półtorarocznego Kacperka do nosidełka na plecy i ruszyliśmy z Izą nad jezioro Kotynia. Kiedy zagłębiliśmy się w odchodzące od jeziora uroczysko zauważyłem na jego wschodnim, zalesionym zboczu grubą kłodę, leżącą w połowie wysokości zbocza i skierowaną z góry na dół. Wówczas zadaliśmy sobie bardzo dużo trudu, by z Kacprem na plecach, przy pomocy różnych drągów, obrócić tę kłodę tak aby leżała prostopadłe do stoku. Efekt przeszedł moje oczekiwania – na stromym i zalesionym starą sosną stoku leżała w poprzek zjazdu kłoda, którą koń musiał pokonać lekkim skokiem. Problem dla jeźdźcy nie kończył się na tym. Musiał on bowiem wytrwać po skoku kilka fuli w galopie w dół stoku omijając drzewa, gdyż dopiero na dole można było wyhamować rumaka. Nazwałem tą przeszkodę Przeszkodą Kacpra uznając jego wkład w jej powstanie. Wzbudzała ona słusznie autentyczny strach wśród niektórych jeźdźców, ale kiedy zastęp schodził już z góry stępem na tą przeszkodę, to nikt nie miał wyboru. Później chyba śniegi zsunęły tą kłodę na trawę rosnącą na dnie uroczyska, więc z czasem przeciągnęliśmy ją na jezioro, oparliśmy w wodzie na kilku kamieniach i mieliśmy świetną przeszkodę nad wodą w trakcie naszych galopów po wodzie wzdłuż jeziora. Odnawialiśmy ją praktycznie co roku.



Grzesiu Szulc na zsuniętej już trochę Przeszkodzie Kacpra

Bród Bruna – to krótki i płytki, zalesiony bród pomiędzy jeziorami Mały i Duży Guścierz. Pierwszy raz przekraczaliśmy go znając już zdradzieckie, kaszubskie podłoże, w drugim lub trzecim roku Zdunowic. Bojąc się jakiejś nieprzyjemnej niespodzianki gruntowej wykorzystałem wówczas psa Roberta, wyżyła o imieniu Bruno, który zawsze towarzyszył koniom w terenie. Nie chcąc zsiadać z konia po prostu urwałem kawał gałęzi z drzewa, rzuciłem go psu na drugą stronę i obserwowałem zachowanie się psa na brodzie. A ponieważ woda była naprawdę

płytką z łatwością zauważyłem piaszczyste, twarde dno pod psimi łapami. Dopiero wówczas, bez obaw przekroczyliśmy końmi ten bród, nazywając go imieniem pionierskiego psa.

Długi Zjazd – na zachód od jezior Guścierz wznosi się okazała, zalesiona góra. Dalej za nią na zachód ciągnie się rozległy teren bagnisty aż do Sulęczyzna. Na górę można łatwo wjechać z trzech stron: od północy, wschodu i południa. Strona zachodnia tej góry, w kierunku wspomnianego bagna jest bardzo stroma, a u podnóża góry, przed bagnem jest droga którą można odjechać w lewo lub w prawo. Jest dzięki temu bardzo atrakcyjna dla zjazdu w dół. Tu naprawdę konie przysiadają na zadach, trzeba je też dobrze trzymać, a każde odstępstwo od kierunku „prosto w dół” może zostać surowo ukarane. Dodatkową trudność stanowi długość tego zjazdu, który wymaga od jeźdźcy wytrwałości w koncentracji.

Mamy tam też inne fajne miejsca, choć nie obrosły większymi legendami. Zaliczam do nich Dolinę Myszołowa – długą, piaszczystą dolinę na północnym brzegu jeziora Sumino, ciągnącą się od wsi Ogonki na zachód, nad którą zawsze krążył jakiś drapieżnik; Uroczysko na północ od jeziora Sumino, na jego środku, czyli długi, opadający do jeziora wąwóz którego dno wypełnione jest bagnem i roślinnością bagienną; Indiańskie Miejsce – wzgórze w lesie, 1 km na zachód od leśniczówki w



Uroczysko opadające do Jeziora Sumino

Zdunowicach, z którego można znakomicie obserwować płataninę drózek leśnych w dole i kontrolować ruch na nich; Gaj Żyletkowy – czyli zakrzaczoną drózkę na południowym brzegu jeziora Gostkowo, która po każdym na niej galopie przynosiła jeźdźcom szramy i otarcia twarzy (m.in. Młodej na pierwszym obozie); czy wreszcie Aleja Jałowcowa – piękna, jakby ludzką ręką wysadzana jałowcami trawiasta ścieżka w lasach na północ od wsi Sylczno.

Moja ulubiona, dwugodzinna trasa terenowa zawierała szereg pięknych miejsc i innych atrakcji dla jeźdźców. Wyruszałem ze Zdunowic na północny-wschód, przez Ptasi Raj do kręgów kamiennych (wówczas mało znanych) nad jeziorem Długie. Później Bród Pęciny, Kanion Maryni i spacer po szczycie skarpy na południowym brzegu jeziora Czarne ze wspaniałym widokiem. Następnie od Niesiołowic na południe po rżysku skoszonych pól, z komendą „co koń wyskoczy” (czyli można wyprzedzać czołowego!), szaleńczy galop do ściany lasu na horyzoncie. Dalej oddech dla koni w drodze do Doliny Myszołowa koło Ogonek, by Doliną Myszołowa dotrzeć do Uroczyska i wrócić nim do naszego jeziora Kotynia z Przeszkodą Kacpra, lub pociągnąć dalej na zachód by okrążyć jezioro Suminko i zobaczyć Kanadę.

Na jednym z obozów zrobiłem tą trasę przysłanym nam w ramach wymiany studenckiej jeźdźcom z Francji. Przed jazdą Iza Górska, która była ich przewodnikiem i przywiozła ich ze Starogardu, powiedziała do mnie: „Wiem że jesteś zakochany w tym terenie, ale nie obraż się kiedy nie będą się zachwycać, bo im się tu u nas mało co podoba”. No trudno, jedziemy. Ale po pół godzinie zauważyłem, że oczy zaczynają im się świecić, a głowy chodzić na boki. Kiedy w galopie na Brodzie Pęciny koń jednej z Francuzek zanurkował razem z nią pod wodę, pomyślałem że to koniec jazdy. Ależ skąd! - gwałtownie oprotestowali mój zamiar powrotu do stajni. Załapałem się na chwilowy widok topless, kiedy dziewczyna ściągnęła wszystko mokre z góry i założyła pożyczony od kolegi sweter, po czym ruszyliśmy dalej. Nad Kanionem Maryni „ohom” i „ahom” nie było końca, nagle też pojawiły się i zaczęły pstrykać aparaty. Potem gdy ruszyłem w ostry galop na rżysku zorientowałem się po chwili, że za mną nie ma nikogo, są dopiero hen, gdzieś daleko z tyłu, podczas gdy na jazdach z naszymi klubowiczami zawsze była walka „łeb w łeb”. Po prostu Francuzi trzymali konie i bali się tak szybkiego galopu, prawdopodobnie nie mieli wcześniej możliwości ćwiczenia takiej jazdy. Kiedy w końcu dojechaliśmy do bazy komentarzom nie było końca, a Iza przecierała uszy ze zdumienia. Po lecie dostałem list od jednego z Francuzów pełen zachwytów i wspomnień z tego dnia wraz z kilkoma zdjęciami z tej jazdy.



Choć wiele z tych miejsc się zmieniło lub wręcz przestało istnieć, część jest gorzej dostępnych przez domki rekreacyjne i mocno wyjeżdżone, kamieniste drogi, to z pewnością zostało jeszcze trochę innych miejsc do odkrycia. Sam żałuję, że nie skorzystałem nigdy z jednego ciekawego miejsca. Znajduje się ono na zachód od bazy, około pół kilometra za Koniostradą. Jadąc drogą na Mausz trzeba wówczas skręcić w lewo i 50 metrów dalej na starej drodze leśnej znajdują się dwa płytkie doły ułożone w szereg, idealne dla skoków na skok-wyskok, nawet dla przeciętnych jeźdźców. Nowa droga omija je łukiem. Aby jednak te doły wykorzystać trzeba je w pierwszej kolejności odgruzować z drewnianego rumoszu i gałęzi, które w nich zalegają. Nigdy nie miałem na to czasu, a doły nadal tam są i czekają na swojego odkrywcę, sprawdziłem.



Obozowe życie i niektóre przygody

Studenckie życie w bazie letniej zawsze obfitowało w wiele pomysłów, choć nie zawsze mądrych. Jedno było pewne – nie było czasu na nudę.

Na turnusach było parę wydarzeń zajmujących większość dnia, robiliśmy bowiem czasami rajdy, np. naokoło jeziora Mausz, z przekraczaniem wbród rzeki Słupi, albo rajd do Amalki, do Ułana. Były też wyjazdy do kowala w Węsiarach oraz niedzielne wyjazdy konno na mszę do kościoła w Sulęczynie, co wywoływało sensację, ale też zjednywało nam uznanie miejscowych Kaszubów.

Czasami trzeba było pójść do lasu na jagody, bo kartki na żywność były niewystarczające i wówczas jedliśmy ryż z cukrem i jagodami, w porwach nawet ze śmietaną.

W normalne dni po śniadaniu zawsze było coś do roboty przy koniach lub bazie. Później często szliśmy nad jezioro, gdzie był pomost, aby popływać lub po prostu się umyć. Kilkaset metrów dalej był długi brzeg, gdzie stała nasza wodna przeszkoda i gdzie lubiliśmy galopować po wodzie. A ponieważ było tam twarde dno to czasem zabieraliśmy tam konie by je trochę umyć. Zawsze było przy tym sporo zamieszania i śmiechu, bo konie oczywiście chciały się kłaść w tej wodzie. Zawsze zresztą myślałem o popływaniu z końmi (np. w poprzek jeziora Sumino), ale była to zbyt duża odpowiedzialność za ludzi i konie, i nigdy się na to nie odważyłem.

Popołudniu były jazdy maneżowe, a czas wolny to tak naprawdę mieliśmy dopiero po kolacji. Wówczas najczęściej robiliśmy ognisko. Nie miał z nami łatwego życia gospodarz Gruchała, bo ziemniaki posadzone koło naszej stajni, jakoś nie chciały mu rosnąć, a im dalej od stajni tym plon był lepszy. Za to nasze ogniska – palce lizać!

W następnych latach Gruchała obok stajni siał tylko zboże.



Galop ze skokiem w Jeziorze Kotynia

Przesiadaliśmy więc przy ognisku, snując różne opowieści lub śpiewając, jeśli były jakieś „nutki” (dopiero później Alek lubił utrzymywać ognisko przez cały dzień). A ponieważ ludzie spadali z koni (jak to na jeździeckim obozie) to „nutki” były często i bractwo robiło szybkie postępy wokalne. Nie było wśród nas pokolenia „starogardzkiego”, więc musieliśmy stworzyć własny repertuar. Ludzie przywozili ze sobą różne piosenki, przeważnie z „Bazun”, ja promowałem piosenki których nauczyłem się w AKJ Kraków. A były to przede wszystkim piosenki jeździeckie i piosenki z okresu II Rzeczypospolitej, głównie ułańskie. Polskie jeździectwo zawsze, mimo PRLu, cechowała silna pamięć o okresie II Rzeczypospolitej, jej osiągnięciach i zwyczajach. Studenci byli w tym zakresie najbardziej spontaniczni i odważni. Oprócz „Amarantów” czy „Żurawiejek” śpiewaliśmy więc takie piosenki jak „O mój rozmarynie”, „Legiony” (wtedy w Polsce prawie zapomniane), „Szwależerowie”, „Ostatni mazur”, „Rozkwitały pąki białych róż”, „Ułani, ułani” czy „Kujawiak Świętokrzyski” (pieśń o Powstaniu Styczniowym). Z AKJ Kraków przejęliśmy m.in. takie piosenki jak „Ataman”, „Ty czarny lesie”, „Rudy Gość”, „Ej dziewczyno, ej niebogo”, „Horiłka”, „Boże daj mi konia”, „Helpa”, „Dona” czy „Pusto w Gorcach”. Później Edek przywiózł skądś „Ułana” i „Malowanych”, a Młoda „Stare Stanice” i „Karczmareczkę”. Sporo piosenek grał i śpiewał Robert, np. „Obława” Kaczmareckiego, „Górska opowieść” lub „Wypić, wypijemy”, Bogdan Weltrowski antykomunistyczny „Blok”, a Janusz Mikoś aluzyjne „Zwierzątka”, „My starzy ludzie w autobusie” Kaczmareckiego, „Baron cygański”, oraz „Maki, chabry i malwy”.

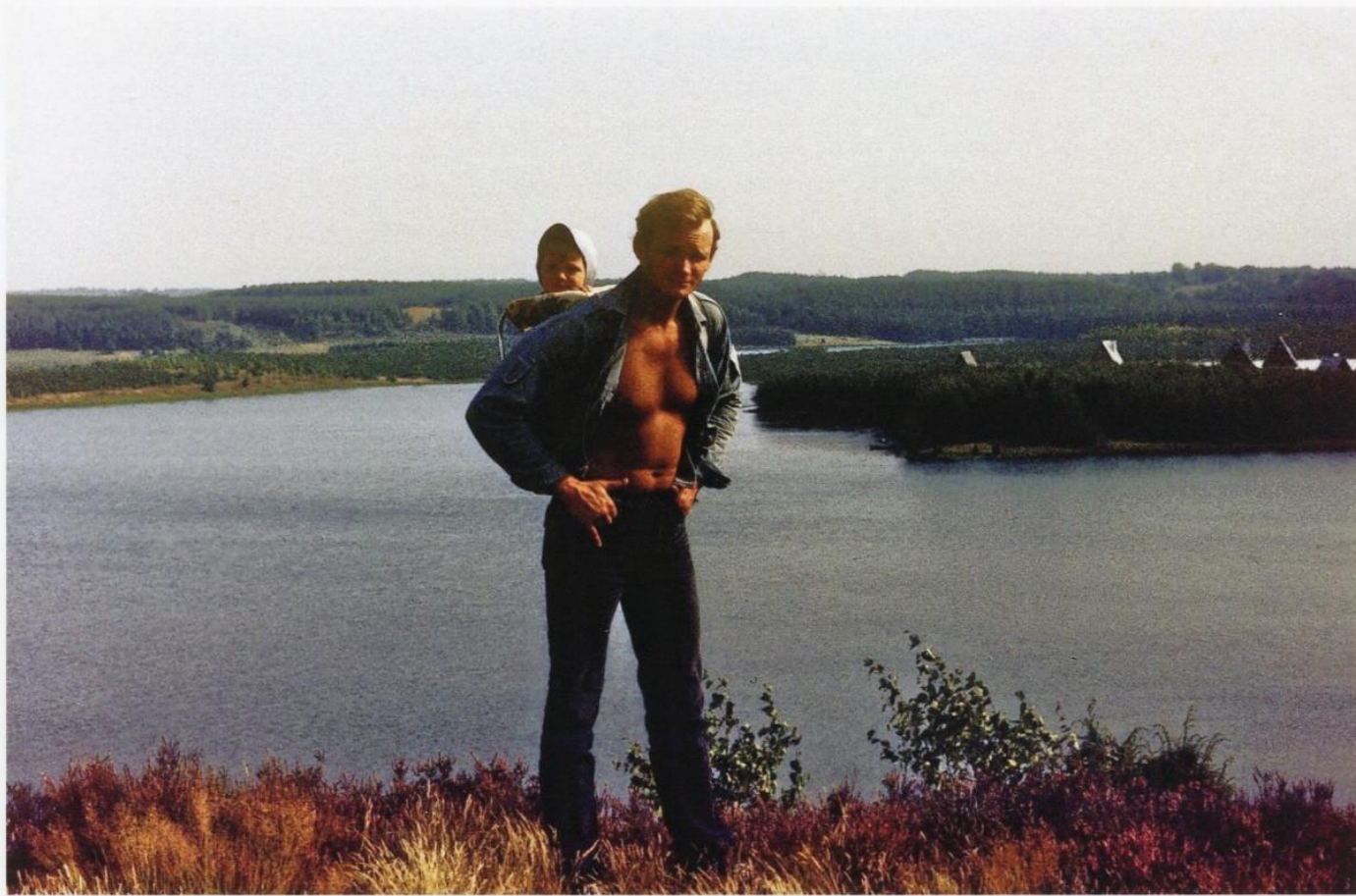
Ale mieliśmy też lżejszy repertuar, taki jak słynny „Pelikanek”, „Oby zawsze stał Waszeci” czy też „Na zielonym gankie”.

Mieliśmy to szczęście że wiele osób umiało na czymś grać i lepiej lub gorzej, ale grało. Za gitarę chwycił Robert, Edek, ja, Piotruś Pęcina, Bogdan Weltrowski, Stefan Świętochowski i Alek. Alek grał zresztą także na okarynie i harmonijce ustnej, a pięknie śpiewała z nim Hania Synowiecka. Nigdy nie zapomnę jaką Alek zrobił nam frajdę, kiedy na jeździe w okolicach wsi Sylczno wyjechaliśmy z lasu na rozległą polanę. Był piękny dzień wrześnieowy i cała polana pokryta była wysokimi, siwymi już trawami. Idąc zastępem po kolei zanurzaliśmy się po brzuchy końskie w tej trawie i wtedy, z tyłu (Alek jechał ostatni) dobiegła nas muzyka jego harmonijki ustnej. Grał różne westernowe standardy, a my nie marzyliśmy o galopach tylko o tym, aby ten stęp, w tej wysokiej siwej trawie, trwał jak najdłużej.

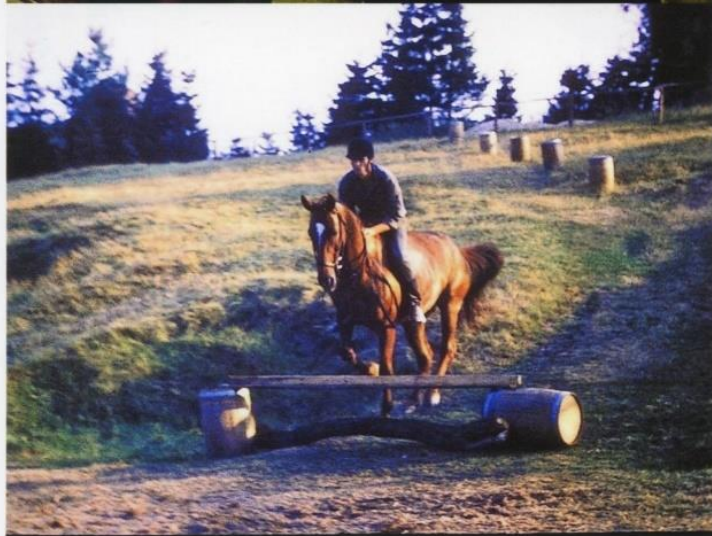


Piotruś Pęcina i Gosia Oleśniewicz





Rysiu Skowron z naszym malutkim Kacprem na tle Jeziora Ostrowickiego



Czasami, kiedy nie mieliśmy ogniska, nachodziła nas chęć grania w „szpadkę”. Jest to stara ułańska gra, w którą ułani grali ponoć na ubitym gnoju. My nie byliśmy aż tak ambitni i graliśmy na zboczu wzgórza, za pompą. Na taborecie ustawialiśmy płonącą świecę, za szablę robiła jej drewniana imitacja. Ułan pochylał się wpół opierając głowę na wbitej w ziemię szabli, reszta towarzystwa kręciła go w kółko, pilnując by nie oderwał głowy od szabli. Wreszcie mógł z okrzykiem „ole!” zaatakować i zgasić szablą świecę. Mało komu się to udawało. Większość szarżowała w dół stoku z wyciągniętą przed siebie szablą, kończąc swój atak glebą, ku uciesze gawiedzi.

Wieczór na koniec każdego turnusu był zarezerwowany na różne wyróżnienia dla uczestników, raczej żartobliwe. Kiedyś Stefan Świętochowski, który był jednym z najbardziej ambitnych jeźdźców jakich kiedykolwiek szkoliłem, dostał przekornie na koniec turnusu wyszczerbiony, plastikowy nocnik. A przecież jeźdźcom, szczególnie tym którzy w różnych ośrodkach byli szkoleni przez dawnych ułanów, znany był krytyczny komentarz ułański „siedzisz jak k...a na wyszczerbionym nocniku”. Trzeba przyznać że Stefan przyjął ten żart godnie i z humorem, ale czy aby na pewno? Tego ostatniego wieczoru pojawiały się też różne drobne wierszyki o uczestnikach, wymyślane głównie przez dziewczyny. Izie bardzo nie spodobał się raz wierszyk o mnie „Czy to ogier reproduktor? Nie to Andrzej, nasz instruktor”. Musiałem się potem nieźle tłumaczyć.

W ciągu tych lat jeżdżenia w Zdunowicach przeżyliśmy sporo różnych przygód, o niektórych z nich już wspomniałem. Nie sposób ich wszystkich opisać, ale pozwolę sobie na wspomnienie jeszcze kilku z nich, tych bardziej dramatycznych, które najbardziej utkwiły mi w pamięci. Może ktoś przypomni inne?

Urodziny Flaszki – to moja najbardziej optymistyczna przygoda zdunowicka. Obóz który prowadziłem w 1988 roku kończyłem pożegnalną jazdą, po której Alek jadący na Fortunie poinformował mnie, że koń mu wyraźnie słabł i się mocno pocił. Dokładnie obejrzałem Fortunę i dotykając jej wymion stwierdziłem, że są nabrzmiące i twarde. Ponieważ był to już okres stałej własnej bazy w Żeliwiaku i własnych koni, zapytałem kiedy ten koń był kupiony. Okazało się, że na wiosnę. Podejrzewając zażrebiecie wysłałem do Klukowej Huty po weterynarza. Obłożyliśmy jeden z boksów balotami siana, na wypadek kłopotów przy badaniu. Kłopotów nie było. Pan weterynarz włożył głęboko całą swoją rękę, wymacał płód i stwierdził, że jest duży, ciąża jest bliźniacza, a porodu można się spodziewać za pół roku. Był to dla nas oczywiście powód do świętowania. Ognisko trwało do późna w nocy, a ponieważ mieliśmy teren ogniska zlokalizowany niedaleko stajni, to kobyła czekała na ciszę. Jakież więc było zdziwienie wachty (wieczorem objął ją Alek z Hanią) oraz nas wszystkich, gdy rano w boksie znaleźliśmy pięknego źrebaka. Data porodu 29 sierpień 1988 roku, około 4 rano. Ja dotarłem do stajni później i od razu zapytałem

o łożysko. Odpowiedź: „Jakie łożysko?” Więc ostrożnie wszedłem do boksu i widłami przeczesywałem słomę bojąc się o małego, ale bardziej bojąc się czy nie będzie problemów z Fortuną jeśli nie urodziła także łożyska. Na szczęście znalazłem je, zagrzebane w słomie w narożniku boksu. Żrebak okazał się dorodną i żwawą klaczką, a na pamiątkę nocnej libacji porodowej nazwaliśmy ją Flaszka, dając pierwszą literę po matce. Flaszka była dla nas powodem do dumy i jej szczęśliwy poród wzbudził wobec nas duże uznanie w światku jeździeckim, a największe u gospodarza Gruchały. Mogliśmy też szczęśliwi zameldować prezesowi Piotrowi Frączkowi: „stan koni +1!”.

Kop od Rubina – też wiąże się z Flaszka. Szczęśliwie po moim turnusie był zaplanowany tygodniowy odpas dla koni, który prowadziłem. W czasie tego odpasu nie było uczestników ani jazd, tylko plan lekkich spacerów dla kilku waletów którzy opiekowali się końmi. Konie całymi dniami przebywały na wybiegu i odpoczywały. Mogłem więc skoncentrować się na Flaszce. Było ładnie i ciepło i po kilku dniach postanowiłem wypuścić Flaszka z Fortuną na pierwszy spacer po wybiegu przystajennym, który wówczas sięgał już aż do drogi. Ale wcześniej, w bazie, trójka studentów, turystów pieszych, zapytała czy mogliby spróbować swoich sił na koniu. Zaprosiłem ich na lonżę przed stajnią. A w stajni, w swoim boksie, tłukł się niesamowicie niejaki Rubin, wałach, być może źle wykastrowany bo rządzący w stadzie i ustawiający wszystkie konie. Tłukł się, bo nie mógł znieść tego, że wyczuł pojawienie się nowego konia (Flaszka), a jeszcze nawet go nie widział. W końcu udało mu się rozwalić liche zabezpieczenie drzwi i wypadł fukając, nabuzowany, z błyskiem w oku na wybieg. Fortuna akurat pasła się daleko, koło ogrodzenia przy drodze, Flaszka była tuż przy stajni, przy ogrodzeniu koło bramy, a ja tuż obok niej, robiłem coś przy sprzęcie wyciągniętym z siodlarni. Było ciepło więc byłem tylko w spodniach, z gołym torsem. Momentalnie zorientowałem się że Flaszce grozi śmiertelne niebezpieczeństwo – ewentualny kop od Rubina mógłby tego małego patyczaka połamać. Rubin kilkoma krokami paradnego klusa zbliżył się do Flaszki prychając przez nozdrza, a wtedy ja jednym susem wskoczyłem pomiędzy nich, mając Flaszka za plecami a przed sobą wrogo nastawionego Rubina. Wymacałem rękami za sobą Flaszka, pchnąłem ją do tyłu z całych sił, tak że przekoziółkowała pod ogrodzeniem i wypadła poza wybieg. W tym samym momencie widząc złość w oczach Rubina zacząłem obracać się by odskoczyć na bezpieczną odległość. Nie zdążyłem. Rubin odwrócił się błyskawicznie, ja zrobiłem krok ucieczki i wtedy dostałem kopa z obu tylnych nóg na gołe plecy, powyżej nerek. Szczęście nie w kręgosłup i na tyle niezbyt mocno, że po prostu wyleciałem tylko jak z procy na zewnątrz wybiegu pod ogrodzeniem, ryjąc twarzą piach. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, kopa zamiast Flaszki dostałem ja, obnosząc się przez następne dni z siniakiem w kształcie kopyta na plecach, a trzech turyści którzy właśnie dochodzili z bazy do stajni momentalnie zawrócili i podejrzewam, że nigdy więcej nie próbowali zacząć uczyć się jeździć konno.

Bagno Damaski – to jedna z moich najgorszych i najbardziej traumatycznych przygód zdunowickich, i to na pierwszym moim obozie. 23 sierpnia 1982 roku na jeździe w terenie w okolicy Sulęckiego Borku Lucyna Jóźwiak spadła z klaczy o imieniu Damaska. Wyglądało to nieciekawie więc zeskoczyłem z konia do Lucyny, a tymczasem Damaska zrobiła w tył zwrot i pełnym galopem, popędzana fruwającymi strzemionami, ruszyła w kierunku północnym, przeciwnym niż stajnia. Kiedy zorientowałem się, że Lucyna dochodzi do siebie i nic jej nie będzie, po koniu nie było ani śladu. Wówczas podzieliłem zastęp: wysłałem jeden podjazd w kierunku północno-zachodnim i drugi w kierunku północno-wschodnim w poszukiwaniu Damaski, a z Krzysiem Musiałkiem "Młodym" ruszyłem prosto na północ tropem Damaski. Reszta wracała do bazy z Lucyną, która szła pieszo. Oba podjazdy nie natrafiły na żadne ślady i po dotarciu do szosy Węsiory – Sulęczyno zawróciły do bazy. Tymczasem my wyraźnym śladem Damaski dotarliśmy do ww. szosy, gdzie zgubiliśmy trop, ale po zasięgnięciu języka dowiedzieliśmy się, że kobyła pobiegła dalej na północ, do Bukowej Góry. Tam miejscowi powiedzieli nam, że Damaska nadal biegnie na północ. Rzeczywiście wkrótce odnaleźliśmy ślady jej kopyt. Niestety, gdy za Bukową Górą wbiegła na mocno wydeptane, rozległe pastwisko, zgubiliśmy jej ślad. Po około godzinnym przeczesywaniu terenu postanowiliśmy wrócić do bazy, bo nasze konie miały już dość, a do domu daleko. Ja byłem na mojej ulubionej Afryce, a Młody na Czepie. Zamierzaliśmy powrócić motorem i szukać dalej konia. Wracając pytaliśmy wszystkich o konia ale bez rezultatu. W momencie gdy byliśmy już na asfalcie z Amalki do Sulęczyna, dogonił nas na rowerze starszy pan, którego wcześniej też pytaliśmy. Po spotkaniu z nami jechał dalej i zobaczył Damaskę w bagnie, więc zawrócił i nas dogonił. Gdy w ślad za nim dotarliśmy do bagna sytuacja wyglądała beznadziejnie. Kobyła wbiegła w głąb bagna po wąskiej, trawiastej grobli i wskoczyła na zielony kożuch, który oczywiście pod nią się zarwał. Była zwrócona w kierunku dalszego bagna, a wystawała tylko głowa z szyją i kawałek siodła. Nie zastanawiając się oddałem Młodemu konia i lekkomyślnie z grobli przeskoczyłem Damaskę zanurzając się obok niej po piersi w bagnie. Wisiałem tak w tym bagnie nie mając gruntu pod nogami. Następnie „nurkując” udało mi się odpiąć popręg i siodło. W międzyczasie starszy pan przyciągnął kilku mężczyzn z pobliskiego gospodarstwa. Spięliśmy kilka naszych popręgów, ponownie „ponurkowałem” w bagnie i udało mi się je przełożyć pod brzuchem Damaski, która prawdopodobnie wyczerpana wcześniejszą samotną walką z bagnem, była teraz bardzo spokojna. Miałem nadzieję, że stojąc na grobli „w tych paru chłopów” wyciągniemy konia na popręgach. Nic z tego. Koń ani drgnął. Siła zassanego bagna i ciężar konia były ponad nasze siły. Opadły mi ręce bo widziałem, że teraz ponad bagnem jest już tylko mała głowa klaczy, a ktoś z miejscowych powiedział, że w zaszłym roku w tym miejscu utopiła im się krowa. I wtedy starszy pan kazał swojemu synowi przyjechać traktorem. Do pola na którym bezpiecznie mógł operować traktor było kilkadziesiąt metrów, ale wyciągnęli długie stalowe liny i zaczęli je do traktora. Na koniec dali grubą linę bawełnianą.



Bagno Damaski, Młody pokazuje pozostałym jeźdźcom skąd wyciągaliśmy Damaskę

Znowu wskoczyłem do bagna, założyłem Damasce linę na szyję i pociągając w bok za wodze i lekko napinając traktorem udało nam się sprowokować kobyłę do współpracy i powoli obrócić ją o 180 stopni, w kierunku pola z traktorem. Ale najgorsze dla mnie miało dopiero nadejść. Mogliśmy uratować konia tylko ciągnąc go traktorem za głowę na pole. Założyłem linę tak, by opierała się o kręgi szyjne, a nie o gardło. Gdy traktor napiął linę usłyszałem przeraźliwy trzask kości. Pomyślałem „no to po koniu” i rozdarłem się by zatrzymać traktor. Ten natychmiast stanął, ale starszy pan popatrzył, powoli podniósł rękę i krzyknął „dalej”. Miał rację. Traktorzysta pracował po mistrzowsku, kobyła mimo trzeszczenia kości powoli zaczęła wynurzać się z bagna i sunęła cała sztywna po jego powierzchni w kierunku pola. Kiedy dotarła na rżysko leżała jak sztywny, martwy koń, ale żyła. Wtedy znów wstąpiła we mnie energia. Wysłałem Młodego by nazbierał resztki słomy z pola, po czym nie zwalniając liny z szyi wleźliśmy we dwóch na leżącą Damaskę i z całej siły zaczęliśmy ją rozcierać słomą. Po długiej chwili koń zaczął się ruszać, a po lekkim poluzowaniu liny szarpnął się zrzucając nas z siebie i wstał. Był uratowany. Po mocnym przywiązaniu „francy” do swojego siodła ruszyliśmy stępem w półtoragodzinną drogę powrotną do bazy. Gdy do niej w końcu dotarliśmy wysłałem po weterynarza i natychmiast padłem i zasnąłem na łóżku, razem z tym całym bagnem, które miałem na ubraniu, głowie, w uszach, nosie i we włosach.

Weterynarz dał koniowi profilaktyczny zastrzyk i po kilku dniach Damaska normalnie chodziła w jazdach, a w zimie w stadninie Rzeczna urodziła pięknego ogierka, bo jak się okazało była żrebna.

Ucieczka Dewona – również z serii nieprzewidywalnych zachowań koni. 17 sierpnia 1984 roku koń o imieniu Dewon wyrwał się Hani Synowieckiej w trakcie wypasu na kantarze przed stajnią, pogalopował drogą na wschód i tyle go widzieliśmy. Ruszyłem tropić go na Porohu. W moich notatkach jest imię konia, który mi towarzyszył (Jarosz), ale nie ma zapisu kto był jeźdźcem. W każdym razie wytropiliśmy Dewona aż w Skorzewie koło Stężycy, gdzie życzliwi sąsiedzi wskazali nam chłopca, który schwycił Dewona i ukrył w szopie. Po dłuższej awanturze chłop w końcu wydał nam konia, którego mocno przywiązałem do swojego siodła i ruszyliśmy z powrotem. W bazie byliśmy dopiero około godziny 18.00. A po kolacji musieliśmy jechać samochodem znów do Skorzewa, bo zostawiliśmy chłopu zegarek w zastaw, obiecując że przyjedziemy z wódką. Hania musiała sfinansować alkohol, pojechać i pić ze mną i z chłopem tą wódkę. Taka była cena za odzyskanie Dewona. Samochodem wiozł nas tam i z powrotem Zbyszek Łuczak i przypatrywał się wyrozumiale naszemu opilstwu.

Złamana ręka Gosi Świdorskiej – czyli pełny profesjonalizm. Nie mój, to w końcu na mojej jeździe dziewczyna złamała rękę, ale Małgosi, studentki medycyny i obecnej pani doktor. Kiedy w lekkim galopie na naszej leśnej dróżce pojawił się leżący w poprzek, niewielki pień drzewa, konie w sposób naturalny przeskakiwały go. Małgosia straciła jednak równowagę i poleciała do przodu, upadając na ziemię i łamiąc rękę w ramieniu. Gdy do niej podbiegłem szybko zorientowałem się, że jestem tu zbędny. Wydawała kolegom polecenia co mają robić z jej ręką, typu „weź tą gałąź i przywiąż mi tu”. Widać było że dobrze odrabiała lekcje na swoich studiach, ale nasz podziw wzbudziło jej opanowanie i znoszenie bólu. A ponieważ wydarzyło się to na dróżce w lesie nad naszym jeziorem w Zdunowicach, więc szybko pogalopowałem do stajni, wziąłem naszego Malucha, którego szczęśliwymi posiadaczami wtedy już byliśmy, i podjechałem po Małgosię. Była niesamowicie dzielna po upadku, w samochodzie i w szpitalu bytowskim gdzie założono jej trochę śrub. Do dziś Małgosia pozostaje jedyną ofiarą mojej kilkunastoletniej działalności instruktorskiej w AKJ Gdańsk.

Oklep w terenie – było ich trochę ale szczególnie pamiętam jeden. Prowadząc jazdy w Sopocie zawsze byłem zwolennikiem dużej ilości ćwiczeń w siodle bez strzemion, aby jeźdźcy bardziej czuli konia, „puścili w krzyżu”, lepiej łapali równowagę i nie mieli problemów w terenie po zgubieniu strzemion. Ale na obozach można było ponadto poćwiczyć jazdę na oklep, która w jeszcze bardziej radykalny sposób zmusza jeźdźców do elastyczności w krzyżu, a siłą niewiele się tu zdziała.

Dodatkowo do oklepu zachęcał fakt, że dawał on szansę na jazdę waletom, gdyż oklep był dla chętnych i część oficjalnych uczestników turnusu wymiękała. Przy tym stosowałem żelazną zasadę, że jako instruktor też muszę być na oklep. Zostało mi to po kursie instruktorskim w Zbrosławicach, gdzie instruktor załatwił mnie zabierając w teren na oklep (koń był zapoprężony) podczas gdy reszta jeźdźców, łącznie z instruktorem, była w siodłach. No więc przynajmniej raz na obozie robiłem teren na oklep. A to nie to samo co maneż na oklep – konie wyciągają nogi, są bardziej pobudzone i wielokrotnie gwałtownie reagują na bodźce zewnętrzne. Kiedy więc 29 sierpnia 1982 roku zrobiłem teren na oklep (jechałem na Hypatii) w grze pozostał Krzysiu Michna (na Wojnie), Daniel Zydek (na Halembie) i Zbyszek Łuczak „Paszczak” (na Afryce), a dziewczyny zrezygnowały (z wyjątkiem Maryni Helenowskiej, która jako walet zgłosiła się aby wykorzystać szansę i jechała na Czepie). Zgłosili się natomiast tacy waleci jak Robert Zagata (jechał na Auli), Krzysiu Mania (na Damasce), Andrzej Czechowski (na Lamorze) i niejaki Jarek, nazwiska nie pamiętam (na Czeczudze). Widząc go wcześniej na maneżu miałem duże wątpliwości czy Jarek sobie poradzi. A był to duży chłopak, wysoki, muskularny i silny. Kiedy na moje wątpliwości usłyszałem od niego odpowiedź w stylu „jeśli ja sobie nie poradzę to kto sobie poradzi”, postanowiłem gościa zabrać, biorąc pod uwagę ewentualność dostosowania jazdy do niego. Ale nie musiałem. W teren pojechaliśmy na zachód, w lasy ciągnące się aż do jeziora Mausz, z miękkim podłożem i ładnymi duktami, w tym z Koniostradą. Mimo różnych chodów i atrakcji, łącznie z przeskakiwaniem leżących na drodze drzew, wszyscy trzymali się na grzbietach. Jarek również był dzielny, choć już po pół godzinie stracił miękkość ruchów i walczył siłowo. I pękł dopiero na ostatnim kłusie, tuż przed stępem do stajni. Zaczął zbliżać się do mnie w tym kłusie, mamrocząc i ciskając coś przez zaciśnięte zęby. Kiedy w końcu zrównał się ze mną skacząc na koniu w kłusie jak piłka wycedził: „Andrzej, jakie są jeszcze przekleństwa?!” I miał powody; jego cztery litery wymagały po jeździe wizyty na pogotowiu w Kartuzach. Myślałem że Jarek był jedynym, który mocno ucierpiał na tej jeździe. Dopiero kiedy przechodziłem koło stajni usłyszałem głośne syczenie i piskliwe okrzyki „aj..., aj..., aj...”. A to Izunia smarowała wacikiem, nasączonym piekącą piochtaniną, wypiętą część ciała dzielnej Maryni Helenowskiej

Wyjazd koni w 1982r. – to mogło zakończyć się tragicznie. Jak wspomniałem wcześniej, my przywieźliśmy konie koniobusem i wyładowaliśmy je na asfalcie. Tymczasem przy wywozie koni stadniny przysłały nam swój samochód ze specjalną naczepą do przewozu koni, z jakimś kierowcą – gamoniem, który zjechał w dół, do doliny. Kazał przed stajnią załadować do naczepy konie. Po załadunku poprosił o popchnięcie całego tego pojazdu, żeby auto mogło zapalić.



Nie wróżyło to nic dobrego – tępy kierowca i niesprawne auto, ale nie za bardzo mogliśmy protestować, bo był to pracownik jednej ze stadnin, no i od momentu odebrania i załadunku koni to on brał za nie odpowiedzialność. Kiedy w końcu auto odpaliło, ruszył z całym ładunkiem po starym bruku do góry, w kierunku Sulęcyna. Nasze obawy były słuszne. Zaraz na początku podjazdu ciężar ładunku spowodował, że auto zerwało bruk i ugrzęzło (do dziś w tym miejscu widać wstawione wtedy betonowe płyty). Po wielu kombinacjach udało się kierowcy tyłem wycofać cały pojazd na dno doliny, ale co dalej? Sugerowaliśmy mu, że wyładujemy konie i załadujemy mu na górze, ale on podjął inną decyzję. Zdecydował się wyjechać wzdłuż jeziora Kotynia i dotrzeć do jeziora Sumino, by dalej płytami dojechać do asfaltu. Nasze argumenty, że to nie jest droga dla takiego pojazdu, nie przekonały go i ruszył. Staliśmy przed stajnią i obserwowaliśmy jak oddala się drogą w kierunku jeziora, kiedy z przerażeniem zauważyliśmy, że naczepa zaczyna niebezpiecznie przechylać się w prawo, gdzie teren opadał. Jeszcze chwila i naczepa po prostu zsunęłaby się z drogi i przeokoziłkowała w prawo, z „naszymi” końmi. Na szczęście kierowca również zobaczył to w lusterku i zatrzymał pojazd. Widząc to natychmiast chwyciliśmy różne żerdzie jakie były przed stajnią i pobiegliśmy do pojazdu. Kilkoma żerdziami podparliśmy naczepę od dołu, ale baliśmy się, że to nie wystarczy. Konie denerwowały się w środku i naczepa się trzęsła. Ktoś pobiegł więc do Gruchały, a ten nadszedł traktorem z góry i chwycił naczepę stalową liną. Dopiero wtedy zdecydowaliśmy o organizacji natychmiastowego wyładunku koni – zdania kierowcy nie słuchaliśmy, był chyba zresztą w lekkim szoku i mało co do niego wtedy docierało. Oprócz uczestników ostatniego turnusu byli z nami wtedy różni waleci klubowi, bo wieczorem miało być pożegnalne ognisko, więc wszyscy ratowaliśmy konie. Nie było to bezpieczne – trzeba było wejść do przechylonej naczepy, odpiąć i odwrócić konia, a następnie go wyprowadzić. Dwa lub trzy konie pośliznęły się i leżały w naczepie na boku. Naczepa trzęsła się cały czas, a jej wywrotka wisiała w powietrzu. Wchodzili więc po konie bardziej doświadczeni jeźdźcy, potrafiący uspokoić konia i w miarę bezpiecznie go wyprowadzić (był tam wtedy ze mną m.in. Rysiu Skowron i Jasiu Stańczak). Pozostali trzymali żerdzie, a dziewczyny odprowadzały konie do stajni. Po godzinie konie były bezpieczne, pozostała tylko rozryta droga i samochód zsunięty ze skarpy, ale tym problemem już się nie zajmowaliśmy – kierowca musiał tą sprawę załatwić z Gruchałą. Cieszyliśmy się, że nic się nie stało, bo ten incydent mógł się naprawdę zakończyć tragicznie. Oczywiście następny dzień wykorzystaliśmy by zrobić sobie ponadplanową jazdę w teren, a dwa dni później stadniny przysłały porządną koniobus i załadowaliśmy konie na asfalcie.

Jak więc widać wśród naszych przygód były nie tylko te zabawne i rozrywkowe, było też kilka bardzo dramatycznych, ale na szczęście bez poważnych konsekwencji. Wszystkie one razem zbudowały legendę Zdunowic.



Podparliśmy przechylającą się przyczepę z końmi



Ostatnie dwa konie wyprowadzamy razem

Co zostało po Zdunowicach

W mojej ocenie okres zdunowicki jest bardzo ważny w historii Akademickiego Klubu Jeździeckiego Gdańsk. W okresie letnim przewinęło się przez bazę w Zdunowicach kilkuset studentów jeżdżących konno. Część z nich dopiero tam stawiała pierwsze kroki w jeździectwie (i zaliczała pierwsze „gleby”), część już coś umiała ale miała tam okazję przeżyć swój pierwszy teren, a część doskonalila swój warsztat jeździecki i radowała się jazdami pełnymi fantazji w przepięknym terenie. Niezależnie od poziomu wyszkolenia wszystkim tym jeźdźcom Zdunowice sprawiły dużo frajdy.

Ale to nie wszystko. Najważniejsze było to, że jako klub udowodniliśmy że jesteśmy w stanie wziąć odpowiedzialność za ludzi i konie we własnej bazie. Zdaliśmy egzamin z organizacji ośrodka, szkolenia jeździeckiego i opieki nad końmi. W wyniku działania Zdunowic kilkanaście osób zdobyło motywację i wzięło udział w różnych kursach instruktorskich w Polsce, kończąc je uprawnieniami. Dzięki temu w klubie pojawiła się stosunkowo liczna kadra instruktorska, prowadząca później jazdy, szkolenia i obozy. Finałem tej aktywności była własna, stała baza jeździecka AKJ Gdańsk w Żeliwiaku w Gdańsku Oliwie. Nie ma wątpliwości, że bez Zdunowic baza w Żeliwiaku nigdy by nie powstała.

Zdunowice zmieniły też atmosferę w klubie. To tam rodziły się trwające do dziś przyjaźnie (że o małżeństwach nie wspomnę). Polubiliśmy spędzać ze sobą czas, imprezować i bawić się. Wykreowaliśmy swój własny repertuar piosenek, śpiewany przy ogniskach do dziś. I mimo, że wielu z uczestników tamtych wydarzeń nie siada już w siodło, to nie odpuszcza okazji by spotkać się w gronie klubowych przyjaciół. Oprócz tradycyjnego Hubertusa i Balu Koniarza, świetną do tego okazją jest coroczny rajd Zdunowickie Klimaty, ale też inne imprezy, takie jak coroczna Wigilia klubowa, okrągłe rocznice urodzin, czy różne „domówki” lub ogniska na daczach.

Zakończenie



Swoją przygodę ze Zdunowicami zakończyłem w 1989 roku organizując tam swój jubileusz 10-cio lecia pracy instruktorskiej w klubie. Później udzielałem się już tylko jako instruktor w Żeliwiaku, do czasu utraty tej bazy.

Na jubileuszowe ognisko postawiłem beczkę piwa (w sklepach wówczas nie było, musiałem ją załatwiać bezpośrednio w Browarze Gdańskim), a klub w osobie prezesa (Piotr Frączek) ufundował noclegi w bazie dla członków klubu chcących świętować to wydarzenie. Przyjechało wielu ludzi, a impreza trwała do rana. Byli wśród nich też tacy, którzy przyjechali nie tyle z powodu mojego jubileuszu, co z niemożności odpuszczenia jakiegokolwiek okazji do wizyty w Zdunowicach.

Bo nie tylko ja pokochałem Zdunowice. Sądzę że takich miłośników Zdunowic było wówczas wielu. Spójrzcie na krótki, poetycki esej napisany przez mojego brata Aleksandra Synowieckiego:

Leśny półmrok, tu i ówdzie światło warkoczami przebija się przez korony drzew i plami zielen starego, miękkiego mchem, traktu.

Gdzieś z przodu daleko, przecinka zatracą się w niebie, ale jest na tyle długa, przytulna i kusząca, czysta, cicha i rozćwierkana, że ignorując zdziwienie sarny przechodzimy w miękkiego, płynnego kłusa ...

Skończył się las, sylwetki jeźdźców rozsypują się na brzegu ogromnego pola rozciągniętą ławą, robi się nerwowo, konie chrupią wędzidła i resztki leśnych gałązek. Jakieś caplowania w miejscu, wcale nie słychać cykad i ptaków, i nagle ława rusza!

Wiatr momentalnie opiera się o czoło, zaczyna nacierać policzki, coraz bardziej tamuje dech bo już leci się tak, że kopyta konia ledwie mają czas by dotknąć darni. I niejeden krzyknie sobie z radości, takiej ze środka co świdruje, z trzewi gdzieś. Poza siodłem i poza rozbuchanym galopem taki krzyk jest niemożliwy!

Noc, gotujemy herbatę przy ognisku, gdzieś daleko. Blask oblizuje twarze siedzących milcząco ludzi, z blaszanymi kubkami w rękach. Odbija się w oczach wpatrzonych w ogień i ślepiach koni, które stoją teraz jak zaczarowane, wpatrzone w płomień. Cukier wykradły z plecaka już wcześniej ...

Od wielu lat nie mam innych wakacji niż takie, i znać innych nie chcę!



Tyle moich wspomnień z tego okresu. Jeśli coś pomyliłem - to wybaczcie lub napiszcie coś od siebie. Minęło tyle lat więc o pomyłkę nietrudno, ale w mojej duszy wspomnienia zdunowickie ciągle żyją, ciągle o sobie przypominają.

Bo choć moje życie ułożyło się bardzo ciekawie; stworzyłem szczęśliwą rodzinę, realizowałem się w pasjonującej pracy zawodowej, jadałem pyszności i paliłem cygara z głowami państw od Singapuru po Bogotę, podróżowałem po wszystkich kontynentach od Nowej Zelandii po USA, przeszedłem setki kilometrów górskich szlaków, szalałem na nartach w Alpach, żeglowałem po różnych akwenach i podbijałem przestworza na motolotni ...

to jednak ...

Zdunowice są i pozostaną najwspanialszą przygodą mojego życia.



Andrzej Synowiecki



W dole Jezioro Kotynia, w głębi nasza baza noclegowa

DUP-LISTA

III TURNUS Z DUNOWICE '87



ALEK

HANIA

BASIA

DOROTA

JUREK

TINA

JZA

LESZEK

JOLA

ANDRZEJ

LEGENDA

GALOP

KLUS

SKAK

